

Wiles

TYGODNIK SPOŁECZNO - L

Rok IV

Łódź, 17 sierpnia 1947 r.

Nr 32 (111)

Julian Rataj

Dwuletni plan gospodarczy Czechosłowacji



Julian Rataj

rys. St. Gierowski

Pierwsze zapowiedzi zasadniczych przemian gospodarczo - społecznych w odrodzonym państwie czechosłowackim padły już w czasie wojny w orędziu prezydenta Edwarda Beneša, wydanym w Londynie w lutym 1944 r., w którym również przyjęta została zasada planowania, jako podstawowa rządząca w polityce i życiu gospodarczym przyszłego państwa. Na zewnątrz było to wyrazem szczęśliwego i rozsądnego układu sił politycznych zagranicznego środowiska czechosłowackiego, które należytnym zrozumieniem aktualnych wymogów polityczno-ustrojowych, jakże korzystnie odbijało od wstecznych i skłóconych skupisk emigracyjnych innych narodów. Dla samego narodu pozostającego w mrokach okupacji i przemocy hitlerowskiej stanowiło to otuchę i zachętę do wytrwania.

Idea strukturalnej przebudowy ustroju gospodarczego przewija się także w kosztym programie rządowym przez podkreślenie konieczności upaństwowienia kluczowych przedsiębiorstw przemysłu i górnictwa, produkcji energetycznej, ubezpieczeń oraz całego systemu pieniężno - kredytowego.

Myśl gospodarki planowej, wywołująca konsekwentnie na podłożu przeprowadzonych po wojnie ustrojowych reform gospodarczych, podjął i rozwinął trzeci rząd Frontu Narodowego Czechów i Słowaków w postaci dwuletniego planu odbudowy i rozbudowy na lata 1947 i 1948, przyjętego przez Konstytucyjne Zgromadzenie Narodowe i podpisanego przez Prezydenta Republiki Edwarda Beneša w końcu października 1946 r.

Przygotowanie ustawy o dwuletnim planie było wykonaniem poprzedniego ważnego aktu z wydanego 8 lipca 1946 r. w postaci Programu Odbudowy przez wspomniany trzeci rząd. Rząd ten, podobnie jak dwa pierwsze, jest rządem Frontu Narodowego Czechów i Słowaków, reprezentującym świat pracy obu tych narodów we wszystkich jego składnikach: rolników, robotników, rzemieślników i inteligencję pracującą.

WARUNKI PLANOWANIA.

Na tle czechosłowackiego ustroju prawnego ustawa o planie dwuletnim jest zjawiskiem nowym, dotąd niespotykanym. W okresie bowiem przedwojennym brak było warunków sprzyjających prowadzeniu gospodarki opartej o plan. Możliwość zastosowania zasady planowania powstała dopiero jako następstwo demokratycznej przebudowy polityczno - gospodarczego życia narodu. Dopiero nowy ustrój oparty na zasadach demokracji ludowej mógł powołać do życia system planowania, jako naturalną konsekwencję faktu przejścia władzy w państwie przez lud. Ta zdobycz ustrojowa znalazła swoje umocowanie materialne w postaci objęcia przez lud kierownictwa dziedziny gospodarczej państwa.

Bez podstawowych reform gospodarczych planowanie odcinka gospodarczego, znajdującego się w rękach rozlicznych dysponentów prywatnych, byłoby niemożliwe. Dopiero unarodowienie nie tylko wielkich jednostek produkcyjnych ale całych gałęzi życia gospodarczego stworzyło główny warunek planowania. I tak przez unarodowienie przeszło do rąk państwa 60 do 70 proc. czechosłowackiego przemysłu, cały aparat bankowy i ubezpieczeniowy, których działalność może być teraz bezpośrednio planowana. Jednakowoż nie tylko samo unarodowienie dostarczyło możliwości planowania; należy bowiem zwrócić uwagę na problem nowej organizacji i zarządu wewnętrznego unarodowianego zakresu życia gospodarczego, gdyż stanowi on o wytworzeniu właściwych narzędzi polityki planowania, które są w stanie zapewnić realizację planu dwuletniego. A więc poszczególne dyrekcje przemysłowe z centralnym kierownictwem unarodowionego przemysłu na czele, centralny zarząd banków, rada ubezpieczeń, to są nowe instrumenty planowania gospodarczego sektora państwowego; przeniesienie pewnej części agend administracji publicznej na nową organizację samorządu gospodarczego itd. daje gwarancję harmonijnej współpracy sektora unarodowionego i prywatnego w wykonaniu planu dwuletniego.

Jest to moment bardzo istotny, gdyż bez zaistnienia należytej organizacji planowanie gospodarcze nie byłoby dostatecznie realne. W tym wypadku sprawa polega nie tylko na dobrym opracowaniu planu, ale na jego wykonaniu i kontroli.

Najważniejszym jednak warunkiem zapewniającym powodzenie planu jest sposób i energia wykonania planu, czyli jak najwydatniejszy udział w nim szerokich warstw ludowych. Planowanie to nie tylko trafnie wyliczone i try, i nie tylko praca zamkniętego grona fachowców. Planowanie to przede wszystkim celowa działalność i jak najczynniejszy udział całej masy narodu w wypełnieniu przewidzianych planem zadań. Podstawowym założeniem planu czechosłowackiego jest stwierdzenie, że źródłem trwałego dobra narodu jest praca, że nowy porządek demokratyczny dostarczył potężnej podłogi dla wysiłków pracy szerokich warstw ludu pracującego miast i wsi, dla którego rozwój gospodarstwa narodowego jest obecnie własną sprawą, a wszelka praca i wszelkie wysiłki przynoszą owoce należące do ludu.

PODSTAWOWE ZADANIA PLANU

Naczelną myślą dwuletniego planu jest podniesienie produkcji dóbr inwestycyjnych i konsumpcyjnych ponad poziom przedwojenny, celem polepszenia stopy życiowej ludności.

Zadanie to winno być osiągnięte przez osiągnięcie w rolnictwie pod koniec planu, tj. w r. 1948 poziomu produkcji przedwojennej, a w przemyśle przez przekroczenie z końcem r. 1948 o 10% poziomu produkcji z r. 1937.

Przewidziane w dziedzinie rolnictwa zrównanie produkcji z poziomem przedwojennym, pozwoli pokryć większą część zapotrzebowania żywności w całym kraju. Nie należy bowiem zapominać, że Czechosłowacja w całości nie była krajem samowystarczalnym żywnościowo i niedobór aprowizacyjny, pokrywała w drodze importu środków żywności.

Najcięższym punktem aprowizacji jest niedostatek tłuszczów i mięsa. Przeto szczególnie uwagę poświęca plan podniesieniu i ulepszeniu stanu bydła domowego, jak również zwiększeniu zasiewu i zbiorów paszy oraz roślin oleistych.

Czechosłowacja jest krajem o przewadze pozarolniczej; ludność rolnicza nie dochodzi tu nawet 40% ogółu ludności. Istnieje pewien niedobór sił pracowniczych w rolnictwie, którego pokryciu służy mechanizacja i elektryfikacja rolnictwa. Plan ma za zadanie zbudować we wszystkich powiatach stacje traktorowo-maszynowe oraz rozszerzyć sieć miejscowych i rejonowych spółdzielni maszynowych. Maszyny mniejszych typów są przeznaczane wprost dla indywidualnych gospodarstw rolnych. Oczywiście jest rzeczą, że sama mechanizacja, łącznie z elektryfikacją nie jest w stanie zastąpić niedoboru sił pracowniczych na wsi, dlatego też przedmiotem troski rządu jest wynajdywanie dalszych możliwości zatrudnienia w rolnictwie potrzebnych rąk roboczych.

Jeśli chodzi o przemysł, to nie należy zapominać, że Czechosłowacja należy do krajów o zdecydowanej przewadze przemysłu, którego wartość produkcji przed wojną uczestniczyła w sumie dochodu społecznego blisko w 2/3 (ok. 65%). Stąd też zadanie planu przekroczenia w produkcji przemysłowej ogólnego

poziomu przedwojennego o 10% jest dalszym krokiem naprzód po drodze rozwoju wysokiego przemysłu.

W planie dwuletnim odbudowa i właściwie rozbudowa przemysłu czechosłowackiego uwzględniła nowoczesne zasady planowania, przez należyte ustawienie hierarchii zadań i odpowiednią do tego koncentrację wysiłków największych w tych zwłaszcza gałęziach przemysłu, które są decydujące nie tylko dla całości przemysłu, ale i całej gospodarki narodowej, wpływając w sposób naturalny i ogranicznie ciągnąc na należyty rozwój ogólny.

Na pierwszy plan wysuwają się: górnictwo (węgiel kamienny, koks, ruda żelaza, nafta), produkcja energii (prąd elektryczny, gaz świetlny), hutnictwo (żelazo surowe, stali, wyroby walcowane, odlewy), przemysł metalowy (wytwórczość wagonów kolejowych i lokomotyw, traktory, samochody ciężarowe, maszyny rolnicze, budowlane, obrabiarki itd.), przemysł chemiczny (syntetyczne materiały pędne, nawozy sztuczne itd.), przemysł konsumpcyjny (materiały włókiennicze, obuwie itd.), przemysł konsumpcyjny żywnościowy. W całym szeregu wymienionych gałęzi produkcyjnych przekroczony będzie w r. 1948 poziom przedwojenny jak: w produkcji energii elektrycznej o 75%, w produkcji wagonów przeszło 1000%, traktorów 1500%, samochodów ciężarowych ponad 300%; w innych gałęziach produkcja osiągnie poziom przedwojenny, a to odnośnie: węgla kamiennego i stali. Ciężką jest, że nieistniejąca w ogóle przed wojną w Czechosłowacji produkcja materiałów pędnych, w trakcie wykonywania planu pokryje ogólne zapotrzebowanie przedwojenne tego kraju.

W zakresie przemysłów konsumpcyjnych jak np. we włókiennictwie, produkcji obuwia osiągnięty ma być poziom do wysokości przedwojennego zapotrzebowania; równocześnie będzie forsowany wywóz tych wytworów w takim stopniu, aby wartość wywozu była zdolna pokryć przywóz koniecznych surowców. Czyli, że w tym wypadku w kraju pozostaje cała wartość wytworzona w procesie uszlachetnienia od surowca do gotowego fabrykatu.

Z przytoczonych opisów wynika, że z ważniejszych przemysłów prawie, że nie będzie z końcem okresu planu gałęzi deficytowych w porównaniu z poziomem przedwojennym. Świadczy to w znacznej mierze o znikomych w porównaniu z naszymi zniszczeniami wojennymi, co pozwala przemysłowi czechosłowackiemu w tak krótkim czasie dojść jeśli nie do pełni, to przynajmniej normalnej, pokojowej zdolności produkcyjnej.

Potwierdzenia różnicy w zniszczeniach wojennych u nas i w Czechosłowacji dostarcza dziedzina budownictwa, w zakresie której u nas w okresie planu trzyletniego zaledwie możemy sobie pozwolić w zasadzie na remonty i odbudowę, przysuwając rozwiązanie właściwego problemu mieszkaniowego do okresu następnego narodowego planu gospodarczego. Dwuletni plan czechosłowacki obejmuje nie tylko remonty i odbudowę (jakże zresztą małych zniszczeń), ale i nowe budownictwo, zarówno mieszkaniowe jak i produkcyjne (w rolnictwie i przemyśle), gmachów publicznych, w dziedzinie wodnogospodarczej, komunikacyjnej, zdrowotnej itd.

Jednym z ważniejszych zadań planu jest dokończenie procesu osiedleńczego ziem pogranicznych, które po wysiedleniu stamtąd Niemców, mogą pomieścić 2 i pół miliona osadników.

Struktura gospodarcza Czechosłowacji nie jest jednolita, gdyż zawiera kraje o różnym poziomie rozwoju. Od wysoko uprzemysłowionych Czech, Moraw i Śląska, odbija wyraźnie Słowacja, jako kraj rolniczy. To też plan dwuletni przykładają dużą wagę do problemu zagospodarowania tego kraju w kierunku przybliżenia go do poziomu gospodarczego innych krajów czeskich. Chodzi o wytworzenie tam warunków pozwalających na pełne wykorzystanie istniejących źródeł energetycznych i surowcowych i rezerw ludzkich nieproduktywnie dotychczas zajętych (jak to zwykle bywa w krajach rolniczych i zacofanych) w kierunku uprzemysłowienia Słowacji nie tylko przez rozbudowę już istniejącego przemysłu, ale i przez wprowadzenie tam przemysłu nowoczesnego. Do tego też zmierzają zaplano-

wane inwestycje sięgające kwoty ponad 22 miliardów koron na ogólną sumę inwestycji w planie wynoszącą prawie 70 miliardów koron. W stosunku tych sum widać należyte docenianie problemu podźwignięcia gospodarczego Słowacji.

Słowacja posiada szereg naturalnych warunków, sprzyjających industrializacji. Już obecnie prowadzi się tam dalekie rozpoczęte uprzednio prace nad budową zapór i hydrocentral na licznych rzekach górskich. Po wykonaniu wszystkich przedsięwziętych elektrowni wodnych, co ma nastąpić w r. 1952, wzrośnie trzykrotnie produkcja energii elektrycznej w Słowacji. Będzie to miało m. in. wielki wpływ na wzmocnienie procesu elektryfikacji wsi słowackich, które dotychczas ani w połowie nie korzystają z energii elektrycznej. Zwiększenie wydobycia rud i węgla, wykorzystanie bogactwa drzewnego, rozbudowa przemysłu materiałów budowlanych, oto dalsze elementy tego samego zagadnienia. Godzi się również wspomnieć o bazach surowcowych słowackich dla rozwoju nowoczesnego przemysłu żywnościowego. Ponadto w okresie planu dokona się proces przesunięcia urządzeń maszynowych dla zakładów przemysłowych z krajów czeskich na Słowację. W ten sposób plan dwuletni ma stworzyć podwaliny pod uprzemysłowienie najbardziej zacofanego kraju Republiki.

Nie tylko Słowacja jako całość stanowi teren zaniedbany gospodarczo. Na terenie bowiem samych krajów czeskich, znajdują się rejonu stosunkowo ciężej niż inne dotknięte wojną, względnie gospodarczo zacofane w stosunku do przeciętnego poziomu całości. Określić takie znajdują się w różnych stronach kraju. Plan ma za zadanie udzielić nadzwyczajnej pomocy okolicom zniszczonym oraz roztoczyć specjalną pieczę nad okęgami słabymi gospodarczo, głównie przez przeniesienie, względnie założenie tam przemysłu dla podjęcia lub wzmocnienia eksploatacji lokalnych zasobów surowcowych i wchłonięcia miejscowych sił roboczych. Chodzi w tym wypadku o taki przemysł, który nie wymaga specjalnych inwestycji budowlanych i masowych dostaw surowców jak: przemysł żywnościowy, drzewny, farmaceutyczny, elektromechanik itp.

W ten sposób plan dwuletni zmierza do wyrównania struktury gospodarczej całego państwa.

Ogólna suma inwestycji objętych planem dwuletnim sięga prawie 70-ciu miliardów koron. Suma ta dotyczy inwestycji w dziedzinie administracji państwowej, samorządu oraz odcinka gospodarki upaństwowionej, unarodowionej i prywatnej. Z podanej sumy przypada na przemysł ponad 25 miliardów koron, na rolnictwo ponad 5 miliardów kor., na komunikację 15 miliardów kor., na budownictwo mieszkaniowe 14 miliardów kor., na budowie ziemne, wodnogospodarcze, komunikacyjne i budowie publiczne ponad 10 miliardów koron.

WARUNKI WYKONANIA PLANU

Najważniejszym bezspornie warunkiem wykonania planu dwuletniego jest istnienie dostatecznej liczby sił pracowniczych. W po wojennym życiu Czechosłowacji zaistniały fakty, które wytworzyły brak sił roboczych. W samych tylko krajach czeskich po wysiedlonych Niemcach pozostało do dyspozycji rolników czeskich około 1.300.000 ha ziemi rolnej, na którym to obszarze powstaje przeszło 100.000 nowych czeskich gospodarstw rolnych. Przez wysiedlenie Niemców i Węgrów przemysł czechosłowacki utracił znaczną liczbę pracowników. Ogółem oblicza się, iż w związku z wypełnieniem zadań planu potrzebna jest wewnętrzna migracja zawodowa, sięgająca cyfry 600.000 osób, a mianowicie: do przemysłu około 270.000, do rolnictwa i leśnictwa około 230.000, do budownictwa około 90.000 pracowników.

Osiągnięcie tego zadania może być dokonane dwoma zasadniczymi drogami: 1) przez włączenie do pracy produkcyjnej tej części ludności, która dotąd nie była zatrudniona, a mianowicie młodzieży, zatrudnienie większej niż dotąd ilości pracujących zarobkowo kobiet, osób zdolnych do pracy lecz dotąd nie pracujących, wreszcie osób z obniżoną zdolnością do pracy; 2) przez wewnętrzne przesunięcia w samym aparacie zatrudnienia, tj.

przejście pracowników zatrudnionych dotąd zbrojnie do tych dziedzin, które potrzebują ich pracy oraz przesunięcie sił fachowych do właściwego zatrudnienia. Popierana również będzie repatriacja rodaków z zagranicy.

Oprócz tych zagadnień z zakresu polityki zatrudnienia dalszym środkiem przewidywania braku sił roboczych jest podnoszenie wydajności pracy, przy czym szczególnie nacisk kładzie się na zastąpienie pracy ręcznej maszynową wszędzie tam, gdzie to jest możliwe, oraz na stosowanie systemu płac akordowych z odpowiednią ochroną poborów, wynikających z zwiększonej wydajności przed wysokimi podatkami. Postulaty planu dążą do pod-

wyższenia wydajności pracy przeciętnie o 10% w końcu r. 1948 w porównaniu z rokiem 1937.

Z dalszych warunków wykonania planu należy wymienić należyte organizacje aparatu tak w dziedzinie produkcji, jak i dystrybucji, zarządzenia zmierzające do pełnej stabilizacji waluty, wreszcie zagadnienia dotyczące polityki finansowej i organizacji finansowości, w której finansowanie inwestycji oddzielone jest od finansowania bieżącego i przekazane specjalnym zakładom inwestycyjnym, a poszczególne sektory produkcji posiadają odpowiedzialni w aparacie finansowym w postaci specjalizacji banków dla osiągnięcia prostszej

kontroli wydajności i gospodarności przedsiębiorstw poszczególnych sektorów gospodarczych.

PRZEPROWADZENIE I KONTROLA PLANU

Podobnie jak gospodarka administracji publicznej, tak i gospodarka przedsiębiorstw unarodowionych — jako podstawy planowej gospodarki — podlega kontroli najwyższego organu demokracji ludowej: Zgromadzenia Narodowego. Niezależnie bowiem od kontroli wykonania planu z punktu widzenia jednolitości planu dwuletniego przeprowadzonego przez prezydium rządu, chodzi o specjalną

komisję wyłonioną z konstytucyjnego Zgromadzenia Narodowego dla kontroli wykonania planu a wyposażoną w odpowiednie prerogatywy kontrolne.

Dwuletni Plan Republiki Czechosłowackiej, podobnie jak nasz 3-letni Plan Odbudowy, podobnie jak wszystkie plany demokratycznych narodów, ma za główny cel podniesienie stopy życiowej narodu. Wykonywany rękami ludu pracującego służy swymi wynikami tylko ludowi, jest jego własnością i własnym, skutecznym instrumentem samopodnoszenia się ludu gospodarczo i kulturalnie na lepszy i doskonalszy poziom życia coraz bardziej ludzkiego.

Julian Rataj

Ludwik Łakomy

CHŁOPSKIE DROGI DO MORZA

1. PIONIERZY MYŚLI MORSKIEJ W POLSCE

Mało jest w publicystyce naszej, dotyczącej morza, tego rodzaju wypowiedzi, jak artykuł wstępny kontradmirała Włodzimierza Steyera w numerze pierwszym wznowionego po wojnie organu polskiej marynarki wojennej. Zwiększe a dobitnie autor wywodzi, że „myśl morską, która istniała przed wojną w Polsce, o-kreślano najczęściej jako „mocarstwowa myśl morską”, kształtowana na zasadzie nieprzymiennej wiary w faszyzację Europy. Jest dla Polski Demokratycznej nie do przyjęcia”.

Dlaczego? Oto dlatego, że „każdy, kto używał swoich oczu na to, aby widzieć, aby potem słusznie przewidzieć, musiał uprzytomnić sobie, że ta myśl morską nie służyła celom polskimi, a celom jakiegoś, wtedy jeszcze nieujawnionego mocarstwa, gdyż tylko niedorozwinięty politycznie Polak mógł w okresie przedwojennym uważać swój kraj za mocarstwo”. (Przegląd Morski, Nr 1/126 1947).

Dopiero gdy „puszczona z Lenino bohater-ska i Armia W.P. po ciężkiej łuku sławnej, niepowstrzymanej Armii Czerwonej, zmogła Wał Pomorski, a kosztem wspólnie przelanej krwi Naród Polski stał się gospodarzem 500 km wybrzeża i odzyskał, od wieków zagrabione ziemie piastowskie”, dopiero wówczas „Naród Polski zwrócił się nie twarzą, jak ongiś, ale myślą ku morzu”.

Była jednak warstwa Narodu, która już dawno myśli swe zwracała ku morzu i zamorzu. Był to, określony mianem rzeczownika zbiorowego przez Marię Dąbrowską „Wielki Nieznanny Chłop, którego nazwać warstwą narodu — to właściwie za mało. Gdy stanowi on tak olbrzymią większość narodu, że czytając jego rozpamiętywania naród siebie samego dopiero w pełni poznaje, ogląda i rządzi”.

2. PAMIĘTNIKI EMIGRANTÓW

Bolesną, chociaż krępującą lekturą są wydane w 1939 r. przez Instytut Gospodarstwa Społecznego „Pamiętniki Emigrantów”, w których ludzie, od lat i na zawsze oderwani od ojczyzny, podjęli ciężki, niepraktykowany dotąd przez nich trud spisywania spowiedzi ze swego życia — nie dla nagrody, lecz prawie zawsze z poczucia, iż opisując swe przeżycia dają świadectwo prawdzie, informują, ostrzegają, słowem — służą czemuś, co ma znaczenie ogólne, czemuś, co jest ważniejsze niż osoba autora i jego losy.

Warstwa narodu, która „żywi i broni”, pracująca lud polski — robotnicy i chłop, w lat kilkanaście zaledwie po uwłaszczeniu wysłała bardziej rzutkich z swego grona do twórci Stanów Zjednoczonych, do puszczy Brazylii i Kanady, gdzie ci wywędrowcy i wydzielczy nabywają nieznanego rozmachu, jak gdyby wstąpiły w nich duchy zapomnianych Wyrwibów, z tą różnicą, że w tych zamorskich stronach nie o dęby chodziło, lecz o gęstwiny lasów dziewiczych, wśród których porastały między innymi drzewa oporniejsze od dębów. Każdy z nich nieledwie, w obliczu morza, które go dzieliło od Ziemi Obiecanej, wzdychał:

„Chłopie polski! Ty wieczny wyznawco piastowskich cnót, czyżbyś twoim pośłannictwem było zmaganie dziewiczych brzoń? Począwszy od nadodrzańskich przez mazurskie, przez Podkarpacie i Śląsk, okazywałeś i zdobyłeś szerokim zasięgiem kotłownię Sarmacką dla kultury chleba; stworzyłeś wspaniałą ojcowiznę lechicką i teraz po tysiącletniej twój pracy dla ciebie brak w niej miejsca i chleba? Tam zostawiłeś swoją kądziel, z której przedświój szarą nić przez wszystkie dni historii narodu polskiego. A teraz idziesz za oceanem szukać nowego wątku dla twej przędzy”.

Każdy z nich, jak pan Balcer Konopnickiej, wyznawał w obliczu morza:

„Więc kiedym stanął na onym pokładzie. Na pewnych nogach i szeroko w kroku. Tom się pocieszył, że już na zawadzie. Nie będzie teraz nic, nawet iza w oku”.

Przebywający Atlantyk, chłop po niejakić czasie stwierdzał: „I co tobie, Polsko, po takich dzieciach, rozsypanych po świecie? Ile to my tutaj wypracujemy produktów, które potrzebuje Polska, a jakoś nie można nawiazać tych nici”.

Są i tacy, którzy stwierdzają: „Jak byśmy mieli morze, nie tutaj byśmy się po obcych ładach”.

A czy nie pionierem myśli morskiej jest ów emigrant — robotnik z Łodzi, który w dalekim Rio Grande do Sul żył na „to polskie — jakoś tam będzie” i podkreśla, że owe hasło życia szlacheckiego „prowadziło i wciąż jeszcze prowadzi Polaków... do nijakiego znaczenia w koncercie życia ogólnego”. Wyznaje: „założyłem klub piłki nożnej pod nazwą „Kwiat Morza”, bo... to morze zawsze

mi siedziało w głowie i bez niego nie mogłem sobie wyobrazić Polski”. Stwierdza: „za to, że nawet negier mówił — „Polak nie ma chodzący” — „Polak sprzedal albo zamienił Polskę na bezkę loju” — „Polak gówniany” — „Polak do niczego niezdołny” — i inne obrzydliwe i poniżające epitety, ponosili odpowiedzialność Niemcy i tylko Niemcy. Już przed tym miałem pewne uprzedzenie do Niemców — w Porto Alegre ono zamieniło się w nie-nawieść. Tymczasem, jak świadczy emigrant z Parany „dopóki Brazylija nie znała Polaka, była ciemna jak tabaka w rogu”, bowiem „Polska, to jest ładna i młoda panna w jedwabach, kraj złoisty, a Brazylija, to jest stara, obdarta, a do tego i ślepa wiedźma, kraj dziki, bez żadnej kultury i wychowania”. Dlatego „gdybyśmy byli jaskółkami, to byśmy dawno stąd pociekali, ale niestety, jesteśmy ludźmi, to trudno, a pieniądze na razie nie ma na powrót i nabyć ich wprędce nie możemy, a jeszcze gdyby nie ta kałuża taka duża, to dawno byśmy powędrowali na piechotę do swojej ojczyzny, do której tęsknimy dzień i noc, a na wspomnienie o kraju, łzy oczy zalewają”.

Jakie były chłopskie drogi do morza i za morza, które nieledwie każdy emigrant streszcza w pragnieniu i radzie: „Chciałbym powrócić do kraju i złożyć kości na polskiej ziemi. Przecież polskie ziemie zawierają węgiel, kruszcę, sól i pszenicę. I ci emigranci, którzy powracają do kraju jako synowie marnotrawni — powinni się pomścić”.

Chciałoby się tu przytoczyć większość wypowiedzi emigrantów. Są one o wiele bardziej ciekawe od tzw. utworów marynistycznych nie tylko Zbylitowskich, Kochanowskich, Bożymowskich etc., ale nawet Konopnickiej, Stępcowskiego czy choćby Żeromskiego.

Weźmy np. wypowiedź o podróży morskiej kowala w Paranie, syna rolnika z powiatu opatowskiego: „oto wypełnił nasz „świątek” pływający do kanału La Manche w kierunku zatoki Biskajskiej, przez którą płynął cztery doby przy asyście silnej burzy i balwanów wspinających się na pokład, że wtedy przychodził mi często na myśl Jędrzej Kucza z przysiółką Florka Kurzawy, zmieciony falą do morza. Na spienionych grzywach balwanów szukałem i chciałem ujrzeć widmo chłopca polskiego na szlaku jego wędrówki za ziemią i chlebem”.

A teraz tworzywo dla nowego „Pana Balcera”:

„Po dwudziestu dniach podróży ukazała się na poziomie wody linia brzegów ładu brazylijskiego, potężniejsza z każdą chwilą. Po paru godzinach wpłynął nasz „Würzburg” do portu Zbawiciela (Sao Salvador) w Bahii. Władze celne i sanitarne przeprowadziły formalności prawne i przystąpiono zaraz do wyładowywania towarów”.

W okresie było dwóch emigrantów chorych przez całą podróż morską, których ukrył przed komisją sanitarną: chorzy pierwszej nocy w porcie zmarli; skutek był taki, że władze miejskie nie pozwoliły zmarłym po-

chowad na lądzie. Zabroniono wyładowywania towarów, okręt uznano za zakażony.

Pod nadzorem statku wojennego odprowadzono nasz okręt na pełne morze, żeby po-grzebać zmarłych. O dwunastej godzinie w nocy wstrzymano maszyny okrętu, grupa marynarzy wyniosła dwa pudła ze zmarłymi na tył pokładu. W asyście oficerów przyszedł kapitan, marynarze odśpiewali jakąś pieśń żałobną, po której kapitan, Niemiec, przemówił do rodzin po zmarłych słowami pociechy po polsku i spuszczone trumny na fale morza oświetlonego światłem księżyca. Okręt drgnął lekko, zaczął się oddalać. Tym razem przez chwilę widziałem rzeczywiste dwa widma na szlakach wychodźców polskich”.

To wszystko, co wyżej przytoczono, to nie tylko tworzywo literackie — to niezwykle ważny materiał socjologiczny.

3. CHORWAT BEZIMIENNY A JAN ALEKSANDER KRÓL

Dobrze się stało, że podczas Zjazdu Pisarzy „Wsi” w Rytwianach Ozga-Michalski podkreślił ludowość a raczej chłopskość kroniki Galla Anonima, którego właściwie miano winno brzmieć: Chorwat Bezimienny. Jeszcze lepiej jest, że J. A. Król w swym dziele pt. „Drogowskazy na manowach kultury ludowej” podkreślił nieścisłość poglądu prof. Pi-gonia o „pełnej osobowości” chłopca, która jakoby winna się urzeczywistniać w typie „gospodarki naturalnej” zdążając do „prymitywu samowystarczalności”.

I za Królem twierdzą, że „fałszywy to wzór” i nie sposób go zachować „nie odrzucając cywilizacji technicznej i nie wracając do nieistniejącego już systemu gospodarczego kultury ludowej”.

Między przekazem Chorwata a „Drogowskazami” Króla istnieje w tej chwili przepaść nie do przebycia i postulowany przez prof. Pigonia nawrót do Chorwatowego wzorca o „kraju wprawdzie bardzo lesistym, ale dość przecież obfitującym w złoto, srebro, chleb i mięso w ryby i miód... gdzie powietrze zdrowe, rola żywna, las miodopłynny, wody rybne, rycerze wojowniczy, wieśniacy pracowici, konie wytrzymałe, woły chętne do orki, krowy mleczne, owce weiniste”, jest tak niemożliwy, jak niemożliwym jest nawrót do państwa szlacheckiego wobec istnienia społeczności ludowej. Między szlachetczyzną a ludowością tkwią dwa Kołobrzegi, z których drugi uniemożliwiał nawrót do Chorwatowego wzorca.

4. OD KOŁOBRZEGU W 1105 R. DO KOŁOBRZEGU W 1945 R.

„W sobotę rannym braskiem zbliżyli się już do miasta Kołobrzegu i pobliską rzekę przebywający wśród niebezpieczeństw, bez mostu lub brodu, by nie zwrócić na siebie uwagę pogan, uformowali następnie szeregi, a dwa szlaki ustawili z tyłu na pomoc, tak by przypadkiem o tym się poganie przedwcześnie nie dowiedzieli i nieprzygotowanych nie napadli, płonęli wszyscy jednomyślnie chęcią

natychmiastowego napadu na miasto, opływające w dostatki i umocnione strażami

...Bolesław rycerzy swych, jakkolwiek utrudzonych całodziennym szturmowaniem zaledwie pod wieczór i to z użyciem grózb, zdołał odwołać od walki. Odwoławszy zaś rycerstwo i złupiwszy podgrodzie, odstąpił stąd Bolesław za radą starego Michała, za mury, spaliwszy przedtem wszelkie zabudowania. Wstrząśnięty tym wypadkiem cały naród barbarzyńców przeraził się gwałtownie, a sława Bolesława daleko i szeroko głoszona rozpowszechniała się. Stąd też utarła się powszechnie piosenka ułożona na tym tle, w której dość przystojnie dzielną ową i odwa-gę podniesiono w te słowa:

„Naszym przodkom wystarczały ryby słone
i cuchnące —
My po świeże przychodzimy w oceanie
pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów
dobywali,
A nas burza nie odstrasza, ni szum groźny
morskiej fali;
Nasi ojce na jelenia urządzali polowanie, —
A my skarby i potwory łowim, skryte
w oceanie!”

(Gall, wzgl. Chorwat, II 28)

Jak prędko rycerze przyszliz, tak jeszcze prędzej odeszli, nie dlatego, ażeby ich kto z Kołobrzegu wypędził, ale po prostu nie chcieli tam pozostać. Dziś określanie polityki piastowskiej jako tej, która rzekomo dążyła do nieubliżanej konsekwencji do utrwalenia władztwa Polski w kącie utworzonym przez dolny bieg Odry i biegnące na wschód od jej ujścia do morza wybrzeże Bałtyku, jest w istocie nadmiernym uproszczeniem, choć użytecznym chwilowo jako slogan. Takim samym uproszczeniem, wręcz zakrawającym na drwinę z prawdy dziejowej, jest przypisywanie duchowieństwu polskiemu przez historię rolę uchrześcijanienia Pomorza Zachodniego. Chociaż zaistniało wówczas przerażające dla świata germańskiego widmo potęgi zjednoczonych Słowian Zachodnich, mimo że Pomorze płaciło daninę Krzywoustemu, uznając jego zwierzchnictwo i pokójem z r. 1120 przyjmując na się zobowiązanie przyjęcia chrześcijaństwa z rąk Polski, to groźne widmo nie przyobiekło się w kształty rzeczywistości z winy kleru polskiego. Naówczas państwowe usiłowania Niemiec były nieznaczące, natomiast misjonarstwo niemieckie na Pomorzu stanęło na wysokości swego zadania, jakby wiedząc, że trzeba przede wszystkim mieć za sobą lud, bo mając raz poparcie w masach nie trudno pozyskać panujących.

Niestety, duchowieństwo polskie nie okazało się ani w części równie użytecznym sprawie swojego narodu. Jak podkreśla prof. J. K. Kochanowski: „Polscy księża nie byli bynajmniej podówczas skłonni do oddawania się na usługi interesom państwowym za cenę wielkich niewygód, a może meczestwa wśród wypraw apostołskich na dalekie Pomorze. Wywołony spod przewagi Magdeburga, dążył ówczesny związek potężnego potom w Polsce kleru do kolejnego wyemancypowania się spod władzy świeckiej. Wskazywało mu to cele rozwiłmożnione w epoce krucjat duchowieństwo zachodnie”.

Także i polski stan rycerski był obcy temu zadaniu. Droge do morza torował wówczas tylko chłop polski. Wszakże była to doba, kiedy Chorwatów „kraj bardzo lesisty” lesistym być przestawał, bo głównie Wisłą całe lasy płynęły do Gdańska, który się przede wszystkim bogacił, zdobywając już wtenczas miano „Chłaniska” i pochłaniając wszystkie korzyści handlu, tak skwapliwie oddawane przez możnowładców polskich do skarbców niemieckich. Z polskiego drzewa, spławianego przez oryłów — chłopów polskich w dół Wisły, budowały się floty hanzeatyckie, angielskie i holenderskie, a najprostszym sposobem osiągnięcia doraźnego zysku było palenie lasów na potaż. „Gdzie spojrzeć wszędy rabią, albo buk do hut, albo sośnie na smołę, albo dąb na szkuty” — pisał autor „Wojny chocimskiej”. Możliwość spławu drzewa przyczyniła się do wylesiania znacznych obszarów i rozwoju przemysłu leśnego, a w ślad za tym zdobywania obszarów pod uprawę.

Równoległe z potężnym rozwojem handlu drzewem rozwija się handel zbożem, spławianym takimi rzekami, o których spławności obecnie nie ma nawet mowy. Opiacalność produkcji zbożowej była taka, że dowożono zboże koniami do rzeki spławnej nawet wtedy, gdy dana okolica od rzeki była dość odległa. Dzięki wzrastającemu zapotrzebowaniu zboża w Europie, na rozległym dorzeczu Wisły i części Odry (Warta) rozpowszechniają się

(Ciąg dalszy na str. 4-ej)

POEZJA DLA DZIECI

Od Redakcji.

Problem poezji dla dzieci poruszony swego czasu we „Wsi” okazał się o tyle żywotny, że nie ograniczył się do teoretycznej dyskusji. Oto sześć wierszy pisanych dla dzieci przez sześciu różnych autorów — współpracowników „Wsi”.

Prawie każdy z wierszy opiera się na innym wzorze poetyckim, wyrasta z innego nurtu literackiego. Mamy tu skalę — od prostego, ujętego dramatycznie obrazka, poprzez

żart słowno — poetycki aż do liryki refleksyjnej, posługującej się wypracowanymi przez awangardę środkami stylistycznymi aż do nieregularnej prozy poetyckiej, w której słowo wyjęte z rygoru rytmicznego i rymowego posiada tym większy walor znaczeniowy.

Łączy je wszystkie traktowanie czytelnika — dziecka jako odbiorcy kulturalnego — poważnie, bez chęci okłamania go przez podawanie mu za poezję takich wytworów, które

na rynku literackim są bezwartościowymi odpadkami.

Ponadto wiersze te przeważnie przemawiają do dziecka wiejskiego, uwzględniają odrębność jego spraw życiowych, jego wyobraźni i otaczających je realiów. W tym sensie próby te są chyba pierwszymi, rewolucyjnymi zdarzeniami w literaturze dla dzieci. W utworach Marii Konopnickiej dziecko wiejskie jawiło się tylko jako obiekt filantropii dla pań.

Zarzuty wysuwane w dyskusji pod adresem zwolenników uczciwej poezji dla dzieci, jakoby wiersze podobne były dla dzieci niezrozumiałe, pozostają nadal niesprawdzone. Nie wystarczy dziecku przyzwyczajonemu do katarskiej bzdury odczytać wiersz Stolarskiego czy Murasa i z reakcji dziecka wnioskować o czytelności wiersza. Dziecko — jak każdy czytelnik — uczy się literatury. Chcielibyśmy go uczyć na wzorach dobrych.

Bronisław Marcinek

NOWY CHLEB

Matka na łonie chleba kraje nowy
I dzieciom wręcza po dużym kromie,
A dzieci wzniosły do góry głowy,
Patrzą na chlebek pulchny łakomie.

Patrzą i proszą: „Mnie mamó jeszcze”..
„Cicho dzieciarnia, a to skaranie
Boskie na ziemi, ja wam powrzeszczę!
Nie braknie dzisiaj... każde dostanie...”

Ja wiem i sama komu potrzeba
Najpierw ukroić. Masz Jasiu” — rzecze
Dając Jasiowi duży krom chleba.
„Mamo, gorący o, jeszcze piec”...

„To se podmuchaj, masz wiatr w gębie.
A prawda, Lodka, zawołaj taty,
Niech również przyjdzie, bo dziś na zębie
ojciec nic nie miał”... Wchodzi do chaty

Żądany ojciec i w progu rzecze,
Ale wesołej nucie do żony:
„Jak tam kóbito, chleba się już piecze?”
„E, kochanie, już upieczony”.

Zygmunt Stolarski

ROZMOWA Z CHORĄ DZIEWCZYNKĄ

Nie smuć się. Nóżkę naprostuje lekarz.
W białym pokoiku troszeczkę poczekasz,
pan doktor obejrzy, postuka, a boleć nie będzie. —
nie boli malwę, gdy motyl na płatkę usiądzie.

I nóżka będzie prosta. Nikt już nie popatrzy
na nią, gdy mówić będziesz wierszyk o trębaczach,
albo o gąsce co piórka zgubiła — tylko w twoje oczy,
tylko na sukienkę i wstążki w warkoczach.

Nie upadniesz już nigdy, gdy z dziećmi z kolonii
gonić będziesz latawca z błyszczącej cynfolii,
albo w grze w chowanego, we wróżkę — i wszędzie
gdzie dzieci pobiegą, tam ty z nimi będziesz.

Wcale nie jesteś chora. Ten pan zażartował.
a doktor co żartuje, to zwykły konował.
Choć chodzi w białym kitlu i ma okulary,
nie jest wcale doktorem taki grubas stary.

Za cóżby ktoś miał karę tak okrutną
zesłać na ciebie? Za dzieciństwo smutne,
za ziemniaki na obiad suche, niemaszczone,
jałowe zbiory ojca na szczupłym zażgonie?

A teraz odpocznij. Dzieci niech zostaną.
Wezmę cie na ręce. Jutro przyjdzie mama —
i wszystko czego pragniesz, spełni ci się jutro.
A jeśli będziesz smutna — i mnie będzie smutno.

Tadeusz Chrościelewski

ŻAR — PTASZEK

Spłynął na jabłoń,
Jabłoń zapłonął,
Złotym grosikiem
W kółko zadzwonił,

Aż się zdziwiły
Naokółeczko
Mszyce gryzące
Szparki listeczkom.

Nie wiem, czy w bajkach
Jest zwyczaj taki,
Że dają koncert
Złote żar — ptaki,

Ale mój ptaszek
Zwyczaj ów miewał
Ruszał gardziółkiem
I głośno śpiewał.

A ja włożyłem
Cudne koronki,
W kolorze bratka,
W barwach biedronki,

Dzwoniącą szpadę
Wyciąłem z chmielów,
Włożyłem na nią
Z dzwonek kapelusza

I wyglądałem
— Choć się nie chwałę —
Jak najprawdziwszy
Dwonek walec.

Pytałem głośno:
„Ptaszku, nieboże,
Czemu odlataś
Za Czarne Morze?”

W gniazdo różane
Ptaszka otulę,
A zamiast grządkki
Dam kampanulę,
Bylebyś brzdąkał
Przyjaciółczkom
Złotym głosikiem
W złote kółeczko.

Uciekł mi z ręki
Skrył się w czastuszkach,
Tylko zostawił...
Kwaśne jabłuszka.



Tadeusz Muras

MŁYN

Co zbudujesz z tych patyków, Janku,
że ich strużesz dzisiaj tak wiele?
Jedne stawiasz pod ścianą, żeby doschły w słońcu,
inne chowasz pod wozem i palce brudzisz o koło smarem.

Te największe wyciągnąłeś spod szopy;
miały służyć na trzonki do motyka.
Zanim ojciec zauważy stratę drzewa,
pokażesz mu gotową budowlę.

Wczoraj tatuś opowiadał w domu,
że młynarz bierze za dużą miarkę od mielenia żyta,
ty obiecałeś młyn wybudować własny.

Ale skąd kupisz kamienie młyńskie, żeby tarły ładną mąkę?
Pewno ojcu pogina wszystkie oselki z okienka.
Koło odejmiesz Basi od wózka;
Będzie je poruszała woda z rynny.

Młyn twój będzie mełł drobne ziarenka pszenicy,
które siostrzyczka przyniesie w obydwu rączkach.
Nadaży młec tylko na małe bułeczki,
i braknie ich nawet dla malca, którego kołyszysz długo, by zasnął.

A kiedy trzeba będzie upiec duże bochenki chleba,
ojciec w białych workach musi zawieźć żyto do młynarza.

Młynarzu!
Nie bierz tak drogo od ludzi za mielenie żyta.

Anna Kamińska

RYMARZ

Tu jest sklep rymarza oznaczony mo-
siężną literą nad drzwiami.

Rymarz robi

zaprząg dla konia, który patrzy wil-
gotnym okiem na drzewko przed
sklepem,

skórzaną portmonetkę do błękitnej
kieszeni wuja, z której wystaje
także róg krochmalonej chustki i
słownik angielski,

tornister dla grubego chłopca, w któ-
rym nosi on bułki, kasztany i
ostatni list od matki: kochany
synku...

walizkę, którą zaraz porwie pęd po-
ciągu i zanieśie aż tam, gdzie kro-
pla morza pozostawi na skórze wa-
lizki zielonkawą plamkę

i inne jeszcze przedmioty, których dobrze
nie widać w cieniu sklepowego wnętrza.

DALEKO na horyzoncie, z poza sienie wstęgi zębatego lasu, wysuwała się ogromna, czerwona tarcza słońca i płynęła po szarym niebie coraz wyżej. Piaszczystą, połą drogą, ciągnęły leniwym truchtem trzy furmanki. Na każdym wozie, między sterczącymi rogami kłonic, siedział na nagim rozwodzie chłop, oparty nogami o zwisający, między przednią a tylną kłonicą, łańcuch.

Pod górę konie zwolniły kroku, parsknęły kilkakrotnie i szły sobie stępą kiwając do taktu kopyt ciężkimi łbami. Srodkowy chłop zeszedł ze swego wozu, a zaraz za nim zrobił to samo i ostatni. Pokracznie jakos zbliżali się ku sobie, znać od niewygodnego siedzenia zdrętwiały im nogi. Ale po kilku niezadarnych krokach szli obok siebie za ostatnim wozem zupełnie już do brze. Sięgnęli do kieszeni po bakon i, zwalniając co chwile, lub na moment przystając, kręcili po papierosie. Naraz jeden z nich, mocnym jak grzmot głosem, zawołał:

— Hej!... Szymonie!... Zapalmy se cygara!...

Jadący pierwszym wozem Szymon budził się z zamyślenia, zeskakuje z wozu, zakręca lejce za kłonicę i dołączając się do swoich towarzyszy, związa cygaro; rozglądając po tym wierzchem dłoni wypłowił swoje wąsy, wtyka w usta papierosa i, razem idąc, puszcza dym.

Dokola, jak okiem sięgnąć, czerniały ślady wojny, a zwłaszcza ostatnich jej bojów, które rozgrywały się tutaj na śmierć i życie. Kolor rzeki nie jest już co prawda krwawy — było to rok temu, prze-filtrowała się woda już do czysta. Ale po przewracane czołgi, porozbijane auta, porozrywane armaty, zrujnowane do fundamentów lub popalone wioski znaczą się jeszcze gęsto na czystej zieleni pól.

Walenty przytrzymał Szymona za rękaw, żeby przypalić zgasłego papierosa, a przypalwszy zagadał:

— To już wama ino tragarzy potra... dzisiaj przywieziemy i fertig?...

— O, nie tylko tragarze... trza mi jeszcze na deski — na powały i podłogi. Są to okropne kłoce i do tego w bagnie leżą. Skoro dziś jesteśmy we trzech, to możebyśmy spróbowali je wyciągnąć, co?

— A wyciągniemy, czemu nie... A gdzie myślicie przecierać na deski?...

— A w tartaku. Naszej Samopomocy. Przecie i blisko i tanio i szybko i robota piękna...

— Ino patrzeć, a Zgorzelice z ziemianek wyliza, — przerwał Walenty wskazując na ciągnący się opodal drogi długi smat gruzów i rumowisk wśród których dość gęsto bieleły się zręby nowych budynków.

— A daj im Boże szczęście — persadował — Jędrzej — wyliza Zgorzelice, wyliza Poręby, wyliza Wólka, Brzezówka, Polanka, wyliza Warszawa i tak niedługo wylizemy wszyscy — cały naród, cała Polska i świat cały...

— Tak, jeno biedny, pracujący naród całego świata baczyć powinien, żeby znów jakiś Lucyfer po tym świecie grasować nie zaczął — powiedział Walenty... i wszyscy na chwilę zaniemówili...

— Słuchajcie Szymonie — przerwał milczenie Andrzej — a co tam teraz Franek pisze?... myśli on z tej Anglii wracać, czy nie myśli?

A już blisko miesiąc, jak listu nie mamy. Ale pewnikiem Franek w drodze, pewnikiem już jedzie, bo w ostatnim liście pisaliśmy mu, żeby wracał rychło.

— Właśnie — ciągnął Jędrzej — właśnie... kto nie wrócił zakładać przyciesi, to musi pośpieszyć, żeby zdążyć choćby tragarze zaciągnąć, bo jeżeli i tego nie zrobi, może być różnie... może dojść i do tego, że taki w chałupie stanie się niepotrzebny i chałupa jemu będzie niemila...

— No, ale jedźmy rychło — przerwał Walenty — bo tak, to będziemy się wlec do wieczora.

Każdy jak na komendę, podyrdał do swego wozu, przylepił się tyłkiem do rozvodu, cmoknął na konia. Konie ruszyły kłusem, a wozy grały za nimi wesołym klekotem.

Po kilku godzinach wjeżdżali w las. Wielki, stary las.

Rozsiadł się on na nizinie, to też pełno w nim strasznych moczarów i nieprzebytych bagnisk. Wijącymi się między sędziwe drzewa, rozmiękłymi, błotnistymi drożynami jechali dość długo, żanim dobrnęli do kwartału, w którym było wyznaczone Szymonowi drzewo. Trzy olbrzymie kłoce leżały niedaleko siebie.

Podjechali do jednego z nich. Leżał, jak długi, wciśnięty w mokra, miękką ziemię do połowy swojej grubości. Po chwili, do grubszego końca tego potężnego kłoca, Szymon doprowadza konia z samym przedkiem wozu. Każdy z trzech mężczyzn dzier-

Adolf Olechnowicz

W R Ó C I

OPOWIADANIE

ży w dłoniach zręczny, mocny kolek. Zaczynają po kolei podbijać kołki pod kłoc i próbują razem windować go do góry. Kłoc się nie chce poddać — mocno wrosnięty w to bagienne gniazdo. A no, jeszcze raz, hoop!... Oderwali go od ziemi. Po kolei na komendę podbijały kołki głębiej. Zginając się w kolanach i grzbiecie podsadza się każdy pod koniec swego kołka ramieniem, a po tym razem wyprostowują się. Koniec kłoca idzie do góry — wolno, ciężko. Różnymi zawołaniami dodają sobie bodźca nawzajem...

— Razem!... jeszcze żdziebko!... hoop!... Wreszcie, jeden koniec kłoca leży na przodku kar. Wyprostowali bolące krzyżę, odpoczęli trochę i dalej. Po chwili tak samo z trudem windowali drugi koniec kłoca na tylną część wozu, związali kłoc z wozem, wprzęgli konie i wio!...

Konie targnęły, parsknęły, obejrzały się. — Wio!... Nuże!... Hooop!... — niosło się po całym lesie. Wołaniem tym wtórowały ostre razy bata. Konie siłowały się, stękały — nie. Miesiły pod sobą miękkie, czarne błoto, bryzgały nim dokoła, grzęzły coraz głębiej, aż wreszcie jeden zapadł się i leży na błocie całą szerokością brzucha. Wprzęgli go natychmiast, pomogli mu wyleżeć z bagna, odprowadzili na bok, zakłękli i radzą. Po krótkiej naradzie, zaczęli wokoło rąbać chrust i wyścielać tą faszyną drogę przez całe bagno.

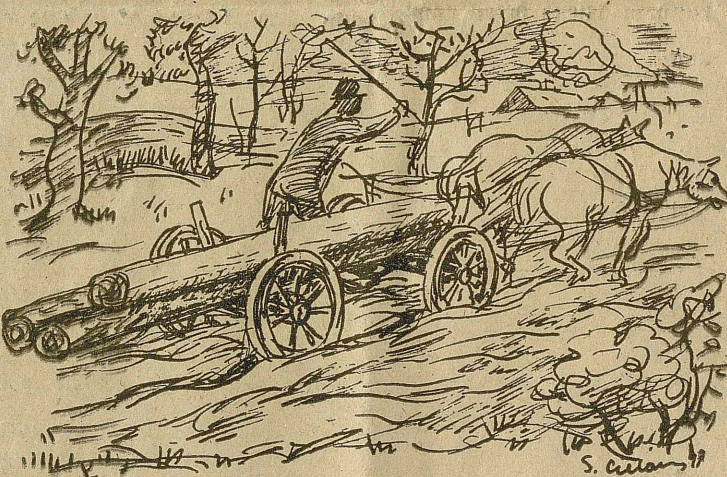
Nie przeszła chyba i godzina, a już wprzęgnięte z powrotem w wóz konie stały na ułożonej grubo faszynie. Znowu różne krzyki, wrzaski, znowu ostre razy bata, znowu parskania i stękania koni, trzask łamiącego się pod kopytami chrustu... Wreszcie — trzasnęło coś mocniej i koń oderwał się od nieruchomego wciąż wozu.

— Nie wytrzymała uprzęż.

Kilka mocnych zakłęk, krótka narada i inny koń doprężnięty już do wozu. Jeszcze raz krzyki, razy bata, jeszcze raz konwulsyjne wysiłki koni — wóz ani z miejsca.

Jeszcze raz narada.

— Sprzęgnąć wszystkie konie razem!



CHŁOPSKIE DROGI DO MORZA

(Dokończenie ze str. 2-ej)

gospodarstwa folwarczne. Produkcja zboża pochłania coraz większe obszary utwierdzając coraz silniej pańszczyznę.

Istniały całe wieś orylów, flisaków, którzy dopływali nie tylko do Gdańska, ale, już na statkach, nawet do Anglii. Jerzy Mniszek posiadał w 1600 r. na Sanie 14 dużych szkut „godnych do ładunku ze wszystkimi instrumentami i aparaty do żeglowania potrzebnymi”, obsługiwanych przez chłopów, którzy byli zgromadzeni w osobnym rzemiośle szkulników. Szkuta, największy ówczesnie rodzaj statku transportowego o przesięgniętej pojemności 300 ton towaru, z swoim wysokim masztem i dużym żaglem, wyglądała jak mały okręt. Był to więc statek, jak na dzisiejsze stosunki na Sanie, wprost o nieprawdopodobnie wielkim tonażu.

Świadczy to również, że w Polsce pańszczyznianej istniała poważna żegluga śródlądowa, a jej rozwój miał tak wielkie rozmiary, że w 1768 r. rozpoczęto budowę sztucznych dróg wodnych, z pośród których pierwszym był kanał Ogińskiego.

Okresy rozbiórów powodują upadek żeglugi wskutek komór celnych, którymi pozamykano Wisłę wobec różnorodności interesów państw zaborskich. Ale chłop polski nadal był żył z żywiołem wodnym i może dlatego taką ławą po 1889 r. ruszyli za morza, stając się np. w Brazylii twórcami ogniska kultury rolniczej lub przyczyniając się do jej wzmożenia.

„Za morze! za morze!” — oto hasło tych, którzy nie mogą się pogodzić z panującym w Polsce uciskiem ludu. Na emigracji powstało

I oto stoją przed wozem, jedna za drugą, dwie sprzęgnięte pary. Jędrzej złapał lejce i bat... Wrzasnął na konie tak silnie, że zdaje się świerki igłami sypnęły, prze-rznął przy tym konie kilka razy batem. Zahuczało w lesie, zatrzeszczało wokół wozu. W oka mgnieniu Jędrzej, konie i wóz z kłocem znaleźli się pod górką, za bagnem.

Odetchnęli z ulgą wszyscy. Poklepali robiące bokami konie. Zapalili.

„W ten sam sposób wyrwali później z bagna kłoc drugi i trzeci.

Po naładowaniu wszystkich wozów, ucze-pili koniom na głowy torby obrocne i zasedli koło wielkiego pnia, który im za stół służył, do obiadu. Nie wiele mówiący ze zmęczenia — jedli. Po krótkim, suchym, razowym obiedzie, ale za to po długim i grubym papierosie, podszedł każdy do swego wozu i — w drogę...

Nie do uwierzenia, co to była za droga — bagna, wyboje, pnie, skrety, załomy... poprostu piekło. To też mordowali się niesamowicie: to komuś wóz przewrócił się do góry kołami — zbiegali się, podnosili, to koło któregoś wozu wierznęło się po piasto w błoto — trzeba było dragami wydźwigać, to znowu komuś tył wozu zaszedł na zakręcie za drzewo — trzeba było odstawiać. I tak ciągle.

Kiedy wyjechali z lasu na równą połą drogę, dzień już miał się ku końcowi. Mrok zapadał szybko, bo niebo się zachmurzyło i zaczynał mżyć deszcz.

Konie drogą szły same, nie trzeba było kierować. Wsunął tedy Szymon ręce w rękawy, wciągnął szyję w wilgotny kołnier kurtki, zgarbił się, skurczył... Szedł obok wozu i znużonymi oczami błądząc w mokrym mroku, myślał:

„...lada dzień chałupę kończę... żeby tak jeszcze stajnię i stodołę, to miałbym zagrodę lepszą, jak przed wojną... żeby ino Franek prędzej wrócił, bo sam, to już nie wydołam... Kiej Franek wróci, to stajnię zrobimy piorunem, żeby ino pośpieszył... Pisałiśmy z matką, żeby rychło... miesiąc

listu nie ma... może jedzie?... Pewnikiem jedzie... może już jest w chałupie... może go dzisiaj zastanę?... zaraz — śniło mi się cosik takiego niezwykłego — zaraz... pewnikiem przyjechał... ale ci robota pódzie piorunem...

I choć mu krzyże od tych kłoców bolały, choć pokaleczone w lesie ręce i obite nogi piekły, choć mokra od potu koszula, jak blacha ziębiła, nadzieja, że syn już przyjechał i że robota pódzie piorunem, tak go wzmo-cniła, że poczuł się na nowo młody i mocny. Wyprostował się, podniósł głowę, podgonił konie i maszerował, jak żołnierz po zwycięstwie.

Deszcz mżył, wozy z rzadka stukotały, konie od czasu do czasu parsknęły, a Szymon szedł i myślał:

„...jutro z kolei Walentemu pojedziemy, po jutrze — Jędrzejowi... może po jutrze deski moje będą już gotowe?... jakby we dwóch z Frankiem... tobyśmy za dwa tygodnie siedzieli już w nowej chałupie... tak i będzie, śniło mi się przecie... z matulą se Franuś gwarzy i czeka na mnie...

Po drodze zrzucili Szymonowe kłoce w tartaku, umówili się na jutro u Walentego i rozjechali się każdy do siebie.

Była już głęboka noc, kiedy Szymon zaje-chął na swoje podwórko. Wypiął szybko ko konie i wpuścił je do stajni, którą la-toś prowizorycznie sklecił z dragów i oga-cił chrustem. Podrzucił koniom garść siano — niech se przegryzą, zanim zmęczenie odejdzie — uporządkował uprzęż, popa-trzył się chwilę z zachwytem na biały, pa-chnący świeżą żywicą grab nowego domu i połaż do chałupy, którą wciąż jeszcze była piwnica.

W tej piwnicznej izbie był półmrok. Szymon rozglądał się chwilę, jakby kogoś szukał. A tu wszystko było po staremu: pod ścianą, na czterech wkopanych słupkach — wyrko... w kącie, omazana gliną i zakopconą płytą... na środku, z okiennicy i czterech wbitych w ziemię kołków — stół, obok niżej, z takiej samej okiennicy — ława... wśród tego krząta się Marta. Szymon nie miał sił rozebrać się nawet — jak stał, tak opadł na ławę i oparł się łokciami o stół, na którym zadrżała mała, kopcząca się lampka. Marta wzięła szybko misę z ja-dłem z płyty i postawiła ją na stole. Szymon, chociaż głodny był jak pies, do jedzenia brał się leniwie. Nie miał sił. Ręka unosząca łyżkę drżała jak pod ciężarem.

Po chwili, kiedy Szymon pót miski wychlipał, wąsy otarł i przerwał jedzenie, robiąc sobie pewnie jeno przystanek dla odpoczynku, bo łyżki nie odkładał, Marta położyła, jak oplatek, na środku stołu list, mówiąc:

Franuś list przysłał... zwolnił się z woj-ska, ale... zapisał się na górniką, do ko-palni węgla...

Szymon zachnął się, jak piorunem rażo-ny. łyżka wypadła mu z ręki. Złapał list w sekacie od trudu i móżołu palce i zwi-e-rał spracowaną garść coraz silniej. List w dłoni trzeszczał.

— Kiej woli zostać angielskim parob-kiem, kiej nie chce być polskim gospodar-zem, to... nie trza go tutaj!!! I cisnął z całej siły listem o ziemię.

— Szymon!... Jezus, Maryja!... Marta kłękła szybko na ziemię, podniosła z na-bożeństwem Franusiowy list, rozprostowa-ła go delikatnie, przycisnęła do matczynej piersi i szeptała:

— Wróci!... Franuś, syn mój jedyny!... Wróci!...

W OSTATNIM 31 (110) NUMERZE „WŚ” z dnia 10 sierpnia 1947 roku:

Tadeusz Orlewicz — Rolnictwo angielskie przed nowymi zadaniami; Anna Kamińska — Pisarzom jadącym na Śląsk; Andrzej Skupień - Florek — Podhale na przełomie wieków; Klemens Oleksiak — Wiersze; Mieczysław Grad — O powieści dla wsi; Gustaw Przeczek — Ondraszek (fragment); Janina Grodziska — Pamiętnik służącej; Tadeusz Chrościelewski — O Rytwianach — felieton rymarski; Józef Kapusiński — Po-rytwiańskie rozmyślenia; Konkurs na reportaż; — Ogłoszenia; — Komunikaty; Po-kwitowania.

Poszukujemy kandydatów na

KOLPORTERÓW

objazdowych (gminnych)

do rozsprzedaży czasopism i broszur na warunkach komisowych

Kandydaci (posiadający rowery) mogą zgła-szać się listownie w porozumieniu z właści-wym terenowo Zarządem Związku Samopo-mocy Chłopskiej pod adresem: Dział Wy-dawniczy Z. S. Ch. Warszawa, pl. Starynkiewicz 7/9.

Ludwik Łakomy.

IDEALIZOWANA DYSKUSJA O POEZJI

GŁOS I.

— Poeci mojego pokolenia, którzy wyszli z chłopów, ale jako poeci wywodzą się z ogólnonarodowych a nawet europejskich nurtów literackich — nie są pisarzami ludowymi. Poeci chłopscy ukształtowani w okresie awangardy, zwycięskiego ostatecznie kierunku poetyckiego, w okresie drugim awangardy, jak Stanisław Piętaś, w grupowej działalności poetyckiej autentystów jak Bolesław Ożóg — nie nazywają się poetami ludowymi. Muszą wybaczyć starsi koleździ, którzy dumni są z miana poetów ludowych, musi wybaczyć Stanisław Nędra-Kubiniec, autor norwidowskich poematów o poezji ludowej ze zbioru „Na nową pórę”. Rozstrzyga tu jednak nie pochodzenie socjalne, a tradycja literacka. Inna to rzecz, że grupa naszych poetów wniosła nowe, niewątpliwie ludowe wartości do poezji polskiej okresu międzywojennego, zajęła w nim własne stanowisko.

Poezja chłopów w tym okresie wzbogaciła tematykę poetycką o środowiskowe elementy chłopskie, wzbogaciła język poetycki o całą sferę realiów krajoznawczych i życia wiejskiego, oczyszczając ją jednocześnie z sielsko-wakacyjnego mieszczańskiego idealizmu. Stanisław Piętaś stworzył nowy krajoznawczy poetycki — wizyjny, lecz zbudowany z elementów realnego życia wiejskiego. Józef Andrzej Frasik użył w swej poezji wiele motywów pieśni ludowej i, jak pisali krytycy, odrzucił sielankę polską. Jan Bolesław Ożóg w swej oryginalnej poezji „autentycznej” przywrócił słowom ich świeże podstawowe znaczenia. I inni.

Uczestnicząc w nurcie awangardy dzielą jej winy, które są winami tym większymi, że dziś społecznie się odciskają, ciągną nad młodym pokoleniem poetów chłopskich. Przerost techniki poetyckiej wpłynął na lekceważenie społecznego sensu poezji. Poeci zamknęli w pejzażu wiejskim nie dostrzegali spraw historycznych dziejących się w tym pejzażu, nie zaludnili go ludźmi rzeczywistymi, działającymi, społecznymi. Ich człowiek to najczystszy motyw ornamentacyjny. Ich krajoznawstwo to statyczny i pozaczasowy wygląd ziemi, w którym także sprawy ludzkie sprowadzają się do tak prostych i wiecznych jak miłość i śmierć, sprowadzają się do biologii. Refleksyjność, liryzm mieniący się od obrazów stał się dzięki awangardzie równoznacznikiem samej poezji.

Te oskarżenia są ciężkie w oczach starszych poetów ludowych, których poezja była jednak społeczna i w sensie komunikatywności dla środowiska rodzinnego i pod względem treści. Był okres strajków chłopskich, tragicznej nędzy wsi, tworzenia się potężnego ruchu młodzieżowego. Te sprawy przez kolory awangardowych szkół miały wyglądać nieco inaczej. Jeśli poeta fakturę swego dzieła odpowiada na filozoficzne pytanie, z czego zrobiony jest świat, to poeci awangardowi odpowiadali: z plam barwy i ruchu — wbrew historykom i socjologom, dla których świat jest przede wszystkim światem kultury.

Nie mniej nie było wyboru dla chłopów włączonych w środowisko inteligentkie. Markę poetycką narodową mogli otrzymać tylko z jego rąk. Masa chłopska stojąca za nimi nie była dość silna kulturalnie, aby dać im oparcie. Ulec tej masie chłopskiej znaczyłoby w tej sytuacji powrócić do tradycji społecznej i, co za tym idzie, poetyckiej, wierszoklektów, niedonoszonych poetów chłopskich.

Pochodzenie chłopskie dawało naszym poetom możliwość przybrania postawy pewnej cierpliwości wyższości, pewnego dąsu społecznego. Józef Czechowicz nawet podkreślał, zdaje się, wbrew prawdzie, swoją chłopską genealogię. Stanowisko pariasa społecznego górującego kulturalnie było zabezpieczeniem się wobec nieuchronnej zagłady wiszącej nad oficjalnym światem kultury.

Historyk literatury XX-lecia Kazimierz Czachowski mógł zaaprobować Piętaśa i Frasika swoimi kategoriami talentu i artysty, pochwalić „plastyczność obrazów”, „nutę pełni”. Wiemy, że ten język krytyczny nie nie znaczy, choć często nadal brzmi w krytyce literackiej.

W bardziej wymiernej ocenie pewne jest, że inteligentka poezja chłopów przetarła drogę młodym chłopom do poezji w ogóle, do poezji, bo dotąd wieś uprawiała tylko wiersze.

GŁOS II.

— Będę przemawiał w imieniu starszego pokolenia pisarzy jako ten, który mógłby się jeszcze znaleźć w antologii pisarzy ludowych Konińskiego.

Sytuacja poety pańszczyźnianego Jana Raka pisałego na odwrocie bydłęcych metryk jest rodowodem społecznym poetów nazywających się ludowymi. Chropowate jego wiersze bliska tu i ówdzie zwrotem Kochanowskiego, rytmem Krasickiego — lecz podnieta która je wywalała, była pozaestetyczna — dążenie do zakomunikowania jakichś treści, choć wypowiedzenia prawdy:

„Pisz pismaku jak siekiera,

Raz być musi prawda szesera”.

Dlatego też tradycyjne rozumienie poezji na wsi składa się z dwóch elementów: przekazania wiadomości o czymś i kształtowania w mowie jakiejś żywej racji. Odczytując, także ujęcie poezji narzuca jej cechy formalne — komunikatywności, jasności, prostoty

i nie wiele odróżnia ją od języka prozaicznego. Taka funkcja poezji sprawia, że przywiązanie czytelników do tradycyjnych form rymu i rymu jako środków techniki zapamiętywania jest bardzo silne. Rozumienie jest warunkiem koniecznym podobania się poezji. To też problem niezrozumiałstwa zjawia się tu pierwszy raz — od strony estetyczno-literackiej. Piękne jest to, co zrozumiałe. Problem niezrozumiałstwa pojawia się i poraż drugi w wiele poważniejszym rozmiarze. Funkcja komunikatywna poezji wyznacza wzór pisarza — poety społecznego. Poeta nie żyje w puszczy, w odosobnieniu od ludzi, poeta żyje wśród ludzi i dla nich, dla ich potrzeb tworzy. Obszar tych potrzeb wzrasta i będzie wzrastał w miarę powiększania się czytelnictwa na wsi. W tej sytuacji poeta nie może zlekceważyć zadań, jakie stawiają mu odbiorcy, zwłaszcza poeta, który chce się nazywać chłopskim. Poeta chłopskim dla nas nie jest ten, kto wyszedł ze wsi i wziął z niej do poezji tylko krajoznawstwo. Dla nas poeta chłopski to pisarz wysunięty przez czytającą masę ludową, bez względu na to, czy będzie opisywał pracę rolnika i garki na płocie, czy dym fabrycznych kominów. Jesteśmy cywilizacyjnie upośledzeni. My jako środowisko chłopskie nie możemy być jeszcze w pełni konsumentami nie tylko europejskiej, ale i polskiej tradycji kulturalnej.

Jeśli działaj w grupie chłopskich pisarzy mówimy o poezji, to niewątpliwie rozmowa nasza ma inny ton, niż dysputy poetyckie w środowiskach literackich ściśle inteligentkich. Jest coś bardzo naturalnego w tym, że zbierając się do ludzi wykarmieni na dobrej literaturze, oderwani na chwilę od śniących tomów, po to, aby pomówić o rodzaju kulturalnych wzruszeń zwanych poezją. Zważając jednak, że doświadczenie niemal nieprawdopodobne, a która jednak jako rzeczywistość musi być wzięta pod uwagę. Zebrał się chłop, który jeśli są w pewnym stopniu konsumentami kultury — mówię o sytuacji mojego pokolenia chłopów — to są nimi wbrew porządkowi społecznemu, w wyniku często dziwactwa indywidualnego, w dążeniu do wyrównania umysłową sprawnością bezradności zbiorowej pańszczyźnianej klasy ludzi. Jeśli dziś tym chłopem, którym za późno przyznano pełne prawo do kultury, za późno, aby mogli go użyć, pozwolono w wywołanie od zajęć praktycznych (bo to ważne) rolniczych, działających, nauczycielskich — zejść się i rozmawiać o poezji, to niewątpliwie powie, że oni wiele rzeczy nie po myśli wam, młodzi, coście wprawdzie nie zerwali sercem ze swoim środowiskiem rodzinnym, ale wysunęliście się w kulturze daleko przed nami. Postąpiłście uczciwie, że postanowiliście mówić o poezji nie w zamkniętym misteryjnym gronie uprzywilejowanych, ale zaprzagnęliście sprawdzić wasze głosy naszą tu obecnością. Tak. Aby mówić o kulturze i nie ułatywać w abstrakcję, trzeba czuć przy sobie towarzyszącą grupę ludzi, przez którą to, co się mówi, objętywizuje się, nie jest czystym indywidualnym „widzimisie”. Dlatego też problem niezrozumiałstwa poezji staje się w tym wypadku poważnym oporem, przez który przeszkodzić się nie da, jeśli chce się utrzymać ciągłość tradycji. Niezrozumienie waszej nowoczesnej poezji w szerokiej rzeszach czytelników to nie jest przecież tylko kwestia naszego nieugetwa. Pamiętając, że mówimy ciągle o sprawach kultury, że to nasze nieugetwo nie jest też tylko sprawą ilości doświadczenia kulturalnego, ale sprawą jego jakości. Wy reprezentujecie wzory kulturalne mowe, nową poezję, my wzory dawne, poezję dawną. Jest to, po myślicie, podział naiwny. Dawność i nowość to rzeczywistości ogólne rozróżnienie. Ale nie określiwszy wzajemnego ich stosunku nie postąpicie naprzód. A iść naprzód każę wam przecież przekonanie, że i w sztuce istnieje prawo postępu. Bo nie prawda jest, że jest tylko poezja dobra i zła, że jest Kasprowicz i Homer, Ferdynand Kuraś i Julian Przybóś, że dobra to właśnie jest ta poezja, która nazywacie nowatorską, zła zaś to poezja formalnie zacofana, poezja dawna. Pamiętajcie, że oceny dokonujemy tu nie z jakiegokolwiek obiektywnego olimpijskiego szczytu, bo takiego nie ma, ale z miejsca, w którym stoimy, ze współczesności, a więc z sytuacji kulturalnej grup. Nie zatracajmy z oka fakt, że literatura tworzy się ciągle dlatego tylko, że jest potrzebna, a nie z ambicji prześcignięcia wzorów.

Ktoś z was powiedział, że Konopnicka pisała wiersze, a wy chcecie poezji, nie wierszy. Nie prawda. Konopnicka przyjęta została jako poetka przez dużą grupę kulturalną, spełniała potrzebę poezji społecznej w sytuacji tej grupy. Przewyższyła Konopnicką obiektywnie to zadanie społeczne z jednej strony dla szkół i organizacji kulturalnych, z drugiej zadanie artystyczne dla poetów: wywołać tęsknotę do nowej literatury, zaspościć ją. My może kiedyś zrozumimy mechanizm wiersza o tych „rozgach brzozy”, co „rysowały wicher”, ale już teraz, dziś chcemy poezji i poezji dobrej.

Jest sytuacja taka, że nowatorska poezja mogłaby ambicje swoje skupić na poszukiwaniu form, które by nie zrywając z masą nowych czytelników nie zrezygnowały także z osiągnięć nowoczesnej sztuki poetyckiej. Sądze, że jedną z dróg do zasypania przepaści niezrozumiałstwa — byłoby sięgnięcie w poezji do treści realnych i aktualnych. Dorzeczny, obiektywny kształt życia

dotrze nawet poprzez trudną poezję do czytelnika, jeśli ten poza techniką poetycką dostrzeże w utworze literackim tę pierwszą funkcję literatury widoczną u Raka: opowiadanie o czymś co warto jest przekazać, mówienie prawdy.

Minister Przemysłu zwracał się do poetów chłopskich dając im podwójne zadanie: pisanie o współczesnym życiu objawiającym się w działaniu gospodarczym i pisanie tak, aby być zrozumianym przez masę, których udział w tym działaniu jest najbardziej bezpośredni. Ta rzeczywistość gospodarcza, o jakiej mówi minister, jest dość wzniosła i patetyczna.

Nie chcemy, aby nas oszukiwano łatwym słowem. Nie chcemy jednak przede wszystkim, aby nas mamiło treściami zmyślonymi i białymi.

GŁOS III.

— Gdy nam, młodym pisarzom chłopskim, przychodzi kończyć dyskusję o poezji i związać głosy dwóch stanowisk, dwóch pokoleń, dwóch losów pisarzy, znajdujemy się w trudnej sytuacji. Uczestniczymy bowiem w obu racjach, w obu systemach, w jakich to racje się wyrażają.

Dobrze będzie zarysować miejsce naszej rozmowy o poezji w programie całej konferencji pisarzy „Wsi”. Zagadnienie inteligencji polskiej, sprawy gospodarcze rolnictwa i przemysłu, sprawy oświatowe i historyczne są nie tylko tem dyskusji o poezji. Są jej konieczną podstawą. Literatura nie wyrasta z powietrza, nie ma literatury bez społecznego przedpola, bez bezpiecznego zaplecza tradycji. Tymczasem tradycja chłopska z tyłu grozi nam nadal, a i przed sobą pchamy niewymienione ideologiczne przeżytki. Pierwszym zadaniem pisarza wydaje się dziś — po pierwsze: rozprawić się z tradycją literacką; po drugie: oczyścić pole dla nowej rzeczywistości gospodarczej — społecznej. Czy w tej robocie jest miejsce na poezję czy wchodzimy raczej w epokę publicystyki, literatury rozumowanej i stosowanej? Nie, wątpliwie, wrażliwość estetyczna nowoczesnego człowieka jest inna, rozleglejsza niż wrażliwość odbiorcy literatury sentymentalnej. Traktat naukowy, referat gospodarczy porusza w nas dziś te same struny wzruszenia estetycznego, jakie trąca poezja. Mówi o czymś także fakt, że poeci czują się tutaj dobrze wśród ekonomistów, że dyskusji oświatowych i gospodarczych nie uważają za obce sobie. Przeciwnie, zachowują się tak, jakby o ich własne, zawodowe sprawy chodziło, jakby się rozstrzygał los poezji wraz z zagadnieniem mechanizacji rolnictwa i organizacji szkół. Warto o tym mówić dlatego, że jeszcze zbyt często spotykamy się z lekceważącym stosunkiem do poezji wynikłym z jej oderwania od spraw życia, z jej ahumanizmem. Człowiek pochwytany przez metaforykę pewnego okresu poetyckiego — mało był podobny do człowieka, jakiego znamy z doświadczenia, człowieka społecznego i historycznego. Megalomania poetów objawiająca się w mniemaniu, że w świecie nieuporządkowanym i niepoznawalnym — jedyne nie poezja podaje klucz do wszechświata — jest dzisiaj nie do przyjęcia. Wynikała ona z bezradności antyracjonalistycznego stanowiska filozoficznego, z antypolitycznej postawy społecznej.

„Przekonania społeczne? Dla karzełków. Recenzje niedorzeczne? Dla zgiełku. Poeto, pluń, gdzie komuna, sanacja i endeeja”.

Tylko ona cię zbawi, przeklęta i jedyna i na gwiazdy wyprowadzi”.

Tak pisał poeta w latach międzywojennych.

Drugie błędne a nie całkiem przewyżnione jeszcze ujęcie poezji i w naszej dyskusji się odezwało. „Klucz do wszechświata” z jednej strony, a z drugiej „serdeczny mistycyzm”. Poezja byłaby czymś pozaliterackim, pozakulturalnym, tkwiłaby w przeżyciu poety, ostatecznie nie do reprodukcji. Tego błędu ustrzegali się nasi mówcy ze starszego pokolenia. Poezja jest literaturą, jest tworem sztucznym, językowym, konwencjonalnym. Poeci, którzy wygłaszali tu przeciwne poglądy, uznają w ogóle naszą dyskusję o poezji za profanację świętości, będą się gniewać za szarpanie słowami tego, co w ich mniemaniu jest niewyrażalne, jedyne, podane tylko intuicji, czuciu itd. Istotnie, możliwość mówienia sensownie o czymś, co nie istnieje, jest żadna.

Chodziłoby jednak o to, aby ująć zadanie poezji rozszerzając czy wyjaśniając może to, co w tej sprawie mówili przedstawiciele starej poezji ludowej, mówiąc o prawdziwości i komunikatywności mowy poetyckiej.

Przypomnę nastroje pierwszych dni i tygodni po wyzwoleniu, kiedy tworzyło się prawie od nowa życie kulturalne w Polsce. Obserwowaliśmy wtedy wielką tęsknotę do literatury, do poezji. Wieczory i poranki poetyckie były odwiedzane tłumnie i to przez bardzo różnorodną publiczność. Ciekawość — jak to, co zdawało się nie do wypowiedzenia, zamknęło się w słowie. Pragnienie — przewyższenia okupacyjnych kompleksów przez organizację werbalną rzeczywistości. Następnie wysunęły się zupełnie inne zadania społeczne wobec literatury. Życie rozwijające się w szybkim tempie zmian wyma-

gało i od literatury, aby nadążała za nim, nawet aby prowadziła. To przewodnictwo literatury, a ściślej — poezji wobec życia, to, co my w słowniku narodowym obarczyliśmy ciężarem słowa — wieszczanie — wyglądać musi zupełnie inaczej, niż w tym okresie, gdy termin ten się przyjął. Opracowania naukowe, podręczniki fachowe wieszczą dziś narodowi jego zadania i czynności. Poezja miałaby do spełnienia i do wyboru dwa zadania: jedno z nich — afirmacja, drugie jak tu się wyraził nasz teoretyk literatury — komplikacja rzeczywistości.

Możnaby wobec naszej chwili historycznej i tradycji literackiej zapytać stylem Kanta: czy i jak możliwa jest poezja opiewająca, panegiryzująca. Przykład takiej monumentalnej niemal poezji mamy w twórczości Majakowskiego, którego język poetycki, jak zauważyli krytycy, stał się nowy i nowatorski przez użycie nowych treści, i ściślej — nazw. Prozaizmy życia publicznego rewolucyjnego wtargnęły w język poetycki i naruszyły jego formy tradycyjne. Byłoby to jedno ze źródeł odnawiania języka poezji. Nie, wątpliwie poezja jest sztuką nazywania. Jeśli poeta potrafi dziś zmieścić w pewnych rygorach poetyckich nazwę Związku Samopomocy Chłopskiej, jeśli sloganowe niemal imiona rzek zachodnich — Odry i Nysy wplecie w taką konstrukcję językową, która uczy, ni je ważnymi — to będą to nowatorskie poczynania poetyckie w tym samym stopniu, co poszukiwanie niezwyklej metafory. Jeśli mówi się o społecznym zdefiniowaniu poezji, o wpływie społecznych zadań, wysuwanych przez zespoły artystyczne, świetlice, teatry ludowe, to nie wyzerpuje to możliwości poezji, choć ją w pewnym sensie określa. Jeśli poezja jest tworem językowym w tym sensie, jak nie jest nim np. recepta aptekarska czy przepis kulinarny, to czynnością ściśle poetycką będzie tworzyć w języku konstrukcje nowe w stosunku do ujęć rzeczywistości innego gatunku, konstrukcje, które przez swe zaistnienie bogacą umysłowy pogląd świata, komplikują jego sferę znaczeniową.

Ta sytuacja dzisiejsza, której wartość podnosi mój poprzednik, spotkanie się w rozmowie o poezji starszego pokolenia samouków chłopskich i poetów pochodzenia wiejskiego — inteligentów, stawia przed nami zagadnienie ich wzajemnego stosunku, zagadnienie oczywiście nie filologiczne, jak chcą niektórzy krytycy, zestawiający np. wiersze Frasika z wierszami i pieśniami ludowymi, ale kulturalno-socjologiczne. Może daby się niepowodzenia losów poezji jednej i drugiej wyjaśnić zbieżnością dramatu społecznego jej twórców. Kuraś, Jantek z Bugaja, Sawczuk i tylu innych są to postacie w naszej kulturze żałosne, choć może dla klasy chłopskiej — ważne. Przypomnijmy sobie to borykanie się z warunkami życia na wsi, z własnym nieugetwem. Gorzej jeszcze — uprzedmiotwimy sobie ich godzenie się na protekcjonizm inteligencji, na poezję małych wieszczów poromantycznych, idealizującą chłopów, na łatwą wizję narodowego szczęścia w zbrataniu klas. Poeta chłopski w przedpokoju pańskim, wyciągający rękę po okruch kultury narodowej — to widok zawstydzający i tragiczny. Poeta chłopski opiewający cudzymi schematami poetyckimi szlacheckich bohaterów narodowych znanych z infantylnego elementarza historycznego dla ludu — to fakt kulturalny zasmucający. Trzeba oskarżyć poetów ludowych, oskarżyć ich aż do końca, o to także, że posiadając o niezrozumiałstwo poezję współczesną — nie czynią nic, aby się jej nauczyli.

Z drugiej strony trzeba się zdumieć, jak silne są strumienie kultury, jak rozumne w szukaniu dróg, jeśli z prawdziwej nocy cywilizacyjnej chłopów w końcu XIX wieku zabrzmi nagle czysta nuta tradycji poetyckiej od Kochanowskiego, jeśli na zaplamionym stole chłopskim zjawia się wielka literatura, a ręka zgrubiała w nieustannej pracy fizycznej chwytą za pióro. Niemniej dramatycznie zarysowuje się sytuacja poetów wychodzących ze wsi do miasta w „początku wieku XX”. W ich sferze środowiskowej nie było zapotrzebowania na ich czynności kulturalne, ich wyjście ze wsi było społeczną zdradą klasy, ponieważ znaleźli się w innym kręgu, wrogim w istocie wsi, pracowali mimo woli nad wzmocnieniem wrogiego kręgu i odcieciem własnego. Wkupywali się w oficjalne środowisko literackie, które przed wojną zdradzało tyle cech społecznego dekadyntyzmu. Górkim sercem musieli się podobać literackiej publiczności w tym, co było ich słabością, nie siłą. Ich osiągnięcia mogły być tylko prywatne, tak samo jak wyjątkowe osiągnięcia chłopskich samouków poetów stojących na wsi.

Los tego drugiego pokolenia chłopskich intelektualistów, którzy zdolali osiągnąć ten poziom kulturalny, utwierdza nas w przekonaniu, że nie ma rozwoju, nie ma szczęścia w oderwaniu od losu grupy, do której się należy, do której się przystaje. Dlatego też jesteśmy tu razem.

Mówi się o europejskości jako celu, do którego awansować mają klasy społeczne. Próbowałam pić ze źródła Supervielle’a i Valéry’ego zaporinając o smutnym Kurasiu i smutniejszym jeszcze Janku z Bugaja. Lecz oni nas dościgli dzisiaj poprzez wszystkich chłopów czytających.

A co dalej w sprawie poezji — mówcie, dyskusja nieskończona.

Ułożyła Anna Kamieńska

A. F. Kirlo-Nowaczyk

Realizm zaklętego kręgu

(„Wnuczek orze” Edwarda Marce)

Tomik wierszy Edwarda Marce, tematycznie ma ściśle określone granice, którymi są: chłopskie obejście, wieś i jej codzienne sprawy. Krąg zagadnień w których lubuje się poeta określa tym samym jego osobowość. Trud wyjścia z chłopskiego, objętego chruszczanym plotem podwórka połączony z walką o byt, zaprawiony goryczą, musiał wycisnąć niestarte piętno na twórcywie chłopskiej awangardy literackiej. Dlatego u poetów chłopskich to ciągle powracanie w opłotki, z których się wyszło. Mógłbym tu mnożyć przykłady na poparcie swojej tezy, ograniczę się jednak do dwóch przykładów, mianowicie do twórczości czołowych liryków chłopskich: Piętaka i Frasiaka. Jakkolwiek zestawienie utworów Marce z utworami Piętaka i Frasiaka, dozukiwanie się jakichś wspólnych cech miało by wątpliwą wartość teoretyczną, warto zwrócić uwagę na wspólne bezspornie podłoże tematyczne dzieł tych trzech poetów — wspomnienia z lat dzieciństwa i młodości. Doznania psychiczne tamtych lat będą na długo jeszcze niewyczerpaną skarbnicą treści jako poetyckie tworzywo i one to w poezji Piętaka i Frasiaka osiągnęły swoją pełnię wyrazu.

Wracam do Edwarda Marce. Oto o czym pisze poeta w tomiku „Wnuczek orze”. Na przestrzeni czterech strofek wiersza tytułowego opowiada poeta jak to: „Lemiesz struże płaty iłu, wielolistny szemrze podbiał”. Swobodny bieg „myśli zadumanych” nie przeszkadza w pracy oraczowi. Sprawa tych „myśli zadumanych” uderzyła mnie przede wszystkim. O czymże myślał oracz kilkanaście lat temu wstecz, kiedy wypadało mu spełniać czynności społecznego pariasa? Czy myśli jego wybiegała poza codzienne kłopoty? Czy zdoła wylatywać poza granice spłachcia ugoru, z którym wiązało chłopca własnego jego „być albo nie być”? Czy oazy oraczego dostrzegały coś więcej nad to, że „konie z wiatrem się moczują, skóre grubo w słońcu marszczą”? Czy w duszy oracza poza przeświadczeniem, że „lata przewiewają kruche”, nie budziło się pragnienie poprawy losu kosztem tych, którzy w swych rękach dzierżyli łany ziemi rozleglejsze od chłopskiej myśli? Wiersz o tym nie mówi i wydziewek jego jest raczej pesymistyczny. A oto z kolei „Wieczne podwórko”. Dlaczego „gałęziami wiatr omiata dach z blasku”? Dlaczego „i wnuka zgarbi siwiejący nastroj i odrzwia drżący będzie długo macał”? Czy istotnie tak ma być, że „Dom mój to własność mojego ojca — i synom bywa za mieszkaniem”? „Na tamtą stronę świt nam stodołę otwiera”. Jakaż to strona i jaki to świt? Czy jednak oraczowi nie przyszło na myśl, że może być inaczej, że nie tylko świt zajrzy do stodoły, lecz o kilka wozów więcej plonu? Ale jak dotąd: „od tej (strony) zmierzch ją na skobel zamknął”. Dzisiaj daj Boże, kruchy dom ojca ma szansę przetrwania po wieki w ogniotrwałej cegle na mieszkanie dla „wnuczków”.

W wierszu „Wozy ze zbożem” mówi poeta: „Któż to poetów zbalał, że chłop jest własnym twórcą? Sam się nam dzień w godzinę skręcił, godzinę w chwilę skurczył”. Był czas, kiedy nie tylko poetów zbalał, ale i chłopów samych, gdy dni się kurczyły od trosk i goryczy nad pustą misą, „nim nowe światło strop przeorało” i „człowiek posłuszny belkom i ruchom” dźwigał na widłach płone sny po jałowych żniw.

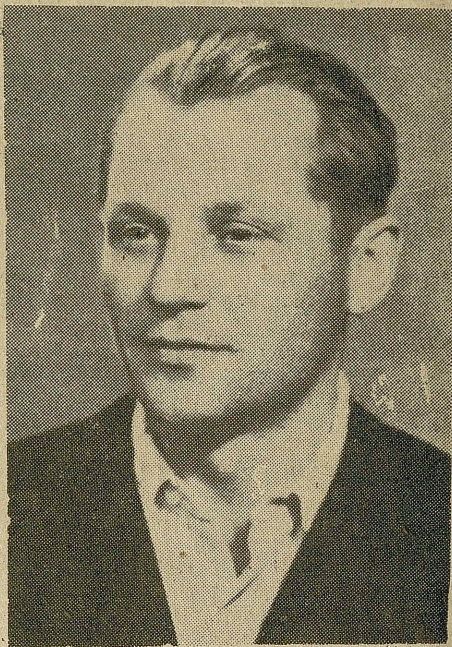
Ale poeta nie zawsze uderza w struny pesymizmu. W utworze „Dzień rozmaity” dostrzega on „świergot ptasi”, który „jak uśmiech wybiega na usta”, czuje, że „ziemia pachnie”, widzi „dziecinnie oczy niebieskie, bure i czarne” jak „o skorupki, ogórki i kwiaty się troszcza”. To nic, że deszcz puchnie, niebo niżej, gdy światło pół roku „dziewczęta noszą na twarzy”.

Lecz oto znowu w wierszu „Jesień” „bezradna rozpacz szuka równowagi”. Czyżby dlatego, że „Dzień do dnia był podobny, że ktoś gdzieś koni drogę zabiegł”, że wieś w swoich zaklętych kregach widziała tylko jedno, iż: „żniwa przeszły. Topole żółkną”, i w konsekwencji wciąż ta sama bieda?

W pięknym wierszu pt. „Pod uśmiechniętym niebem” poeta bolewa: „To przecież maj. Czy świat dał się podbić burzy wiosnej? Skoro cyklon przewiał — a rąk i nóg urwanych nie doprawi chirurg, nie mam plus na westchnienia”. Ta melancholia jest zrozumiała, skoro wywołała ją skutki wojny. I stąd prośba: „Obieg krwi debowej w tętno przywróć, Boże matek rodzących! — Rozbudzaj krzątnię strug i strumieni, niechaj cieką dotąd, wbrew niedogastym na dnie ludz. kim iskrą, aż zmyje czołgi porzucone w błocie, a ślady rdzy wyschną”. Spełnia się prośba poety: „Pod uśmiechniętym niebem idzie człowiek”. Rzecz jasna, człowiek odrodzony, nowy, zarabiający na własne szczęście.

Lecz Marzec wraca znowu w zaklęty krąg, gdy w utworze pt. „Przed snem” powiada: „Te dnie, jak woły w jarzmie, tak ludzie: skoś sięm zboże, nagła zwózka — świat się zamyka w trudzie”. Niedola chłopska jest jak kołowrót, poza którego obroty trudno się wy dostać poecie.

„Rozmowa z matką” — to dzieje jednej z wielu matek chłopskich. Oto jak wygląda opis urodzin dziecka w utworze Marce: „Matko! I w martwych rękach spłotłaś, jak kłamarą, zamierzony ciężar żywota. Brzezina ukleła, krzywym konarem spokój ci odmierza i wiotka miotła obejście przegarnia, jak koło domu. Ale tu jest ciszej”. A dalej: „Przeto się wzmaga żaloszny niepokój, by brzozy sładów matki nie zatęrzyły”. Tymczasem: „ko-



Edward Marzec

stnieje zima. Zmierzch twardo napływa i kwiaty w okna tka bardziej obficie, niżby ogródek narcyzami przywarł i party w szy-

Piotr St. Ziarnik

Edward Marzec - poeta realistyczny

Zestawiając drukowane już we „Wsi” i nie drukowane poprzednio utwory Edwarda Marce z utworami innych pisarzy chłopskich staje się przed nami kompletna odrębność jego poezji. Na czym ta odrębność polega? Najogólniej mówiąc utwory Marce są najwspanialszą ze znanych nam utworów transformacją poetycką rzeczywistości wiejskiej. Krajobraz, ludzie, sprawy wsi znajdują w nich nieskrzywione, nie wystylizowane, nie nakłoniłone ku jakiejś poetyckiej koncepcji — odbicie. Ulega się złudzeniu, że to zwykłe proste wyliczenie elementów, które przeszły przez zmysły nie nurzając się w refleksji deformującej i upadły na papier, że — mówiąc inaczej: Marzec ma swoje pióro w „dniu rozmaitym”, a nie w kalamarzu atryamentu.

Oto fragmenty dwóch wierszy, na ten sam temat: żniwa i burze letnia.

STANISŁAW PIĘTAK

ŻNIWA

— Zakładaj na żyto chochoły, burza idzie! — wołał ojciec i w mgłę się nurzał. Błyskawice konie pogały pod las, a tam nagle dąb w śmiechu czerwonym trząsł. Ukryłem, by nie zmoknąć, z siebie szafę a wtedy na ścierni przyjęły baty błysków mój i ze snopem rzuciły w dół. Kurz srebrny bił z pędzących po niebie kół.

— Napiliśmy się chłodnej, co idzie tęczy. Tato, nasz Gniady u jej brzegu kłęczy... Taki dziecinny jeszcze poniosł się głos we mnie — i usnąłem, oparty o kłos..

EDWARD MARZEC

WOZY ZE ZBOŻEM

Doszło w snopkach cierpliwym upałem. Parny wiatr przedał kłosiwo i słome. Rychoł kogut, kolorowe kokoszki i białe geśi, szukać zaczęły ziarn łakomie.

Grymas krzywych błyskawic z południa po stropie biegnie i drga jeszcze. Świat dołem milknie, milczeniem się zaludnia, wnet sypnie w sny nagłym deszczem.

Raz jeszcze śmignij z turkotem przed nawalnicą huczącą właśnie, by unknąć ze słomianym złotem — ...a piorun wrota zażrasnie.

Zestawienie tych wierszy charakteryzuje Marce jako poetę realistycznego. W wierszu Piętaka metafora odrealnia obraz burzy, z każdego elementu rzeczywistości włączonej w obraz wypryska płomień poetyczności wynoszący ten element na jakiś wyższy poziom, gdzie poeta znajduje nagły sen przytulony do kłosa. Marzec w swym ciekawie skomponowanym wierszu trzyma się realistów, żadna metafora ani elipsa (tych Marzec używa mało) nie przenosi obrazu w inny świat, więcej — opis burzy jest metaforyczny nie mniej efektowny, mniej oryginalny — mniej poetyczny. Efekt położony jest dopiero na koniec, gdzie pada piorun, by zażrasnąć wrota, i to wrota stodoły, a nie — według schematu poetyczności — drzwi nieba.

Zestawienie to pozwala nam wyciągnąć znamieny wniosek. Marzec nie dąży do upoetycznienia rzeczywistości, nie osiąga wizji poetyckiej, zbudowanej z realiów, tak że w wyniku stają się substraktami innej rzeczywistości, jak to jest u Piętaka i u większości poetów współczesnych. Marzec używa do- brych awangardy tylko dla spolegowania wrażenia realności przedmiotów. Marzec nie wykazuje pasji zdobniczej w stosunku do rzeczywistości, jest raczej surowy, antybarokowy w wyrazie. Jest odcobne, awangardowe strofy, jak dwie pierwsze w „Rozmowie z matką”, utwory, w którym Marzec nabrął

by nieporadnie wyciekł”. Wreszcie: „Wszechwładna babka świadków z domu płoszy, bar- chanką sutą przez izbę kolebiąc. Ma przy- jąc dziecko”. „Ojciec pragnie pomóc. Dziwnie pokorny. Popiół w rusztach grzebie i drwa najsuchsze na pasemka struże, aż piec rozja- rzył”. Potem: „Krzyk się rwał i miotął, przy- wołane ze ściany zbiegają obrazy, krwawe serca i lilie nisko się schylały”. W końcu: „Urodziła syna. Małe piastki. Już napój ce- dzą. Jezus na krzyż „wrócił”. Ta scena uro- dzin ma swoją na wskroś wzruszającą wymo- wę, zwłaszcza, że zamknięta w tak prostych formach ekspresji.

Życie matki obfituje w troski i gorycze: „Sprykrzy się matce rozplakana izba, syn- kowi pieluch nikt nie zdążył wyprać”. „Dzień twój za krótki, by stroić raj czeciny, skoro się trudnisz polem urodzajnym”. A dziecko? „Samotny się budzę, samotny zupełnie, twój powrót wypłacę i karmić mię będziesz”. „Gdzieindziej ciepłe, wybielone pieluszki, jak śnieg puszysty. Matrony cierpną i bony, gdy dziecko ma oddech nieczysty”. „Ja tu się w kurzu, jak szczenię rozwalam, rój strupków za uchem mię parzy”. Lecz: „Mądrzejsza jest młodość i moje dzieciństwo w królestwie ru- pieci”. Lecz syn mówi do matki: „Krokami drobisz, moje kroki rosną. Odtąd wyglądam, czy syn ci upiękły ścieżkę, gdzie drepta two- ja noga bosa”? Skarży się poeta: „Próżno mi szukać opieki u ciebie, służebna dójko, zni- wiarko, kopaczko”. Życie kobiety wiejskiej jest twarde. „Pod wieczór dźwigasz ładowaną

szerokiego oddechu z zamiarem stworzenia większego poematu o latach dzieciństwa, na- leżą do rzadkości w tomiku. Przytaczam je na dowód, że metafora awangardowa nie jest mu obca i że posługuje się nią swobodnie.

Matko! I w martwych rękach spłotłaś, jak kłamarą, zamierzony ciężar żywota. Brzezina ukleła, krzywym konarem spokój ci odmierza i wiotka miotła obejście przegarnia, jak koło domu. Ale tu jest ciszej. Szczęśliwie słońce na gałęzi zadrga, jak koło domu. Lecz głosu nie słysz.

W stylu awangardy jest również inna strofa tego utworu:

Zmierzch twardo napływa i kwiaty w okna tka bardziej obficie, niżby ogródek narcyzami przywarł i party w szyby nieporadnie wyciekł.

Metafora i parabola nie są ulubionymi tro- pami poety i dlatego w żadnym utworze nie gromadzi ich, aby zabłysnąć oryginalnością. Chętnie używa starszych typów przenośni.

Ulubionym tropem poety jest natomiast wyliczenie. Znajdziemy je w każdym utwo- rze większym, czy mniejszym. Niektóre drob- ne wiersze są całkowicie na nim zbudowane jak np. „Jesień” i następny wiersz w zbior- ku, niezatytułowany. Tym środkiem operuje Marzec w różnych celach i w różny sposób. Nie jest to oczywiście tradycyjny typ wyli- czenia w ramach zdania. Wyliczenie u Marce polega na stopniowym zapamiętaniu obrazu elementami równoważnymi.

„Pił koń u studni. Żniwa przeszły. Topole żółkną. Drża topole. Wiatr mierzwi wierzby. Kogut grzeszy. Pług się świeci przy stodołę”.

Inny efekt daje zastosowanie tego samego środka technicznego w wierszu „Dzień rozmaity”. Poeta wylicza składniki, aby je podsumować ostatnią strofą — wnioskiem re- flekcyjnym: „I (można) je tu zastąpić wyraże- niem: „a więc”, albo „jak widać”, jak z te- go wynika”) rządzi nami wszechmoc nie na- szych rąk”.

I dalej już jakby uzasadnienie: „Dzień Pomrok. Noc. Drzewina gwarzy. Ostrzemy kosy, a nikt nie sadził łąk”.

Wyliczenie tego typu, jakie stosuje Mar- zec nie jest wynalazkiem nowym. Używa- nie tego tropu spopularyzował w swoim cza- sie konstruktoryzm. Marzec stosuje wyli- czenie z powodzeniem nawet w wierszach bardziej skomplikowanych, jak np. „Pod uśmiechniętym niebem”.

Ze względu na fasadę trzeba jeszcze za- jąć się choćby krótko sprawą gospodarki, słowem w utworach Marce. Powiedziałem, że Marzec jest powściągliwy w stosowaniu ozdób stylowych. Podobnie jest ze słowem. Poeta nie lubi nimi szafować. Dowodzą tego krótkie, lapidarne, pełne treści zdania poje- dyńcze nierozwinięte, złożone z rzeczownika i czasownika, albo zdania złożone z czło- nów współrzędnych, najczęściej orzekają- cych, używane w każdym utworze.

W pełnych zdaniach rozwiniętych Marzec przywraca miejsce pogardzanym na ogół zaimkom osobowym, spójnikom, przysłów- kom. Pozostawienie przysłówków i spójni- ków szczególnie podkreśla rozwój treści wiersza. To wiąże się znowu z realistycznym wydzieleniem utworów, i z ich przystępno- ścią, czytelnością, o którą Marzec niegdyś kruszył kopie z Przybosiem („Wieś” Nr. 11 (39)). W gospodarce słowem, w tradycyjnej strofie (czterowiersz) w utrzymanym rytmie i rytmie swych utworów Marzec jest jak najdalej od awangardy, z której zdobył jak widzieliśmy, potrafi korzystać. Podobnie Jan Baranowicz, najbardziej w szczytowych osiągnięciach zbliżony do autora „Wnuczka”. Wystarczy zestawić drukowane zresztą obok

chwastem płachtę, jak krowy nakarmionej ba- nie”. „W chałupach takie, jak z pobożnych pół kobiety rosną uległe, bo z wiarą w moc przeznaczenia na gorzkawy ból i uśmiech bla- hy, nim je ujmie starość”. „Stoją wokoło z rękami zamiarów pełne”. A za to w niedzielne popołudnie, gdy matkę rozmawiają z matka- mi: „Wielka zazdrość o dzieci urodne, tłuste prosięta i mleczne krowy tai się w sercu. Lecz gwarzą swobodnie o kazaniu z Sądem Ostatecznym”. Zresztą omawiają: „sprawy różne ze sieni jarmarczne przy chałupach czerwonych i białych — na podwórkach, w ogródkach z kwiatami” o tym, że „moja Zoś- ka chciałaby do szkoły. I nasz średni do Mszy Świętej służy. W dworze zdechły dwa naj- grubsze woły i świat trwał tak”. Trwał świat w zaklętym kręgu wiejskich ciotków z jego drobnymi sprawami i ludzi bez aspiracji i pra- gnienia, bez wyjścia.

Tomik „Wnuczek orze” zamyka wiersz pt. „Suchotnica”. Nazwałbym go swego rodzaju pamiętnikiem, nawet spowiedzią chorego na gruźlicę. „Jakby się skopiec miłosierny najał udoić dla mnie nad miarę lekarstwa”. „Matka rozgłasza, że oddycham gładko”. „Poduszkę pod głowę podłożą, za ręce pomatu wiodą”. Lecz sąsiadom nie w smak to, że „siedzi w po- godzie, słońca się naje co dzień”. „Postójcieś równieście dziewczęta przy furcie trochę dłu- żej, chroni was bez i mięta ci suchot”.

Pozostaje dla suchotnicy ostatnie pragnie- nie: „Zabierzcie pola niech puste nogi podetnie mi przestrzeń. Albo w nabrzmiałe usta wi- adrami lejcie powietrze”.

Zamknięty krąg tematyczny poezji Marce rozciąga się w prostym i szlachetnym reali- zmie opisu. Realizm odnosi się przeważnie w li- terackich dyskusjach do prozy. Oto wzór po- etycznego i zarazem trudnego realizmu — poezja Edwarda Marce.

siebie we „Wsi” Nr. 10 (17) w roczniku 1945 wiersze: Marce „Przed snem” i Baranowi- cza „Wieczera”.

Tak przedstawia się fasada. Sięgnijmy da- lej. Poezja Marce sprawia wrażenie, że au- tor najgłębiej i najściślej związany jest ze wsią. Środowisko wiejskie wypełnia po brze- gi twórczość Marce. Ta czystość związku zastanawia. Tak chyba widzi świat reali- styczne oko chłopca. Za treścią utworów nie czuje się programowej ludowości, nie czuje się konfliktów, urazów, tak częstych w twór- czości inteligentów pochodzenia chłopskiego. Podobnie czysty stosunek epiki zaprezen- tował dotychczas jeden tylko pisarz pocho- dzenia chłopskiego — Dunarowski w zbior- ze nowel „Ludzie spod miedzi”.

Zdaje mi się, że sprawa nie jest zupełnie prosta i nie sprowadza się tylko do pytań: czy Marzec jest doskonale wolny od urazu inteligentnego i czy środowisko kultury miej- skiej nie pozostawiło na nim śladu, spływa- jąc jak woda. Byłoby to wulgarnie i zbyt łatwe rozwiązanie.

Twórczość Marce wykazuje wysoką kulturę literacką autora, wykazuje świadomość drogi, jaką obrał i po jakiej konsekwentnie kroczy. Być może, że jako poeta o niezbyt bujnej wyobraźni, małej skłonności do re- fleksji, łatwiej utrzymuje się w kręgu rea- liów. To przypuszczenie uzasadniają wiers- ze nie refleksyjne, ale problemowe i uzie- mione. Realia jego poezji wzięte są wyłączo- nie z kręgu wsi świadome i programowe.

Ograniczenie się wyłącznie i poprzestanie na kręgu spraw wiejskich (krajobraz, pra- ca, matka, dom, burza, taniec, sad...) od- twarzanych bez idealizacji musiało zapro- wadzić Marce do literatury ludowej — do pieśni ludowej, jako do wzoru literackiego najbliższego temu środowisku. Poszukiwanie chyba świadome, podobnie jak u Sierpa. Ta- ki utwór — jak „Taniec” jest siostrzanym po- dobny do wierszy Sierpa „Będą chrzciny” czy „W karczmie”.

U Marce jednak zastosowanie pewnych cech pieśni ludowej jest bogatsze niż u Sierpa. To nie tylko: wpaść w rytm oberłasa, czy polki. Czytamy w wierszu tytułowym „Wnuczek orze”:

„Nogi moje same ida, ręce plugiem chwiała same, ze śniadaniem dziecko przybądź, pływicie myśli zadumane.

W rytm pieśni ludowej, czy wierszyczka sa- morodnego poety chłopskiego, krążącego po wsi z melodią Marzec wlatcza nową treść „ak kunsztownie, że dopiero uważniejsza analiza odkrywa tu skomplikowaną wersyfikację, pewne nieznaczne przesunięcia ak- centu w stopach rytmicznych, które spra- wiają, że monotony rytm piosenki subli- muje się w precyzyjny utwór poetycki.

Ale nie tylko o rytm pieśni ludowej tu chodzi. Ważniejszą sprawą jest podchwycenie najczęściej stosowanego w pieśni ludo- wej sposobu wiązania dwu członów, na które dzieli się strofa. Dla łatwiejszego zoriento- wania się przykład żyjącej do dziś piosenki ludowej:

Od krzaczka do krzaczka
po listeczku —
powiedz mi ma luba
o wianeczku...

Oczywiście u Marce związek logiczny dwu części, na które dzieli się przytoczona strofa, jest większy, ale moment odbicia i przerzutu nagłego treści w obydwu wypad- kach należy do tego samego typu.

Na tym jednak związek z pieśnią ludową wyczerpuje się. Nastrojowość pieśni, jej re- flektyjność, rzewność nie udzieliły się Ma- rowi. Pozostaje on do końca realistą.

Antoni Bohdziewicz

Zagadnienie filmu widziane od strony wsi

Napewno nie istnieje problem, czy należy i czy warto wiesi polską elektryfikować? Korzyści, jakie popłyną z zawieszenia u pulapu chłopskiej izby najsłabszej choćby zawiązki — są bezsporne i oczywiste dla każdego.

Albo czy równie bezsporne i oczywiste będą korzyści przy realizacji np. hasła: „radiowęzeł w każdej wsi”? Czy zainstalowanie w każdej chacie chłopskiej głośnika radiowego da wyniki równie pozytywne, jak elektryfikacja?

Tutaj — danie twierdzącej odpowiedzi zależy już od wypełnienia kilku warunków dość zasadniczych.

Czym jest w praktyce głośnik albo radio. wy odbiornik w mieszkaniu? To stale otwarty kran! Stale otwarty, bo radio-słuchacz jak dotąd nie wykazuje zbyt wielkiej wstrzemięźliwości w słuchaniu radiowego programu. Zwiększa radiosłuchacz świeżo pozyskany. „Grające pudełko” wypełnia mu dom szmerami, które nikną dopiero wtedy, kiedy „pudełko” się zepsuje, albo kiedy sama stacja nadawcza skończy program. Tak jest w miesie i tak będzie na wsi. Więc — kran stale otwarty. A nawet przy założeniu, że z otwartego kranu pocieknie wybory jabłecznik — nie wydaje się, żeby to miało zbyt wiele sensu, żeby to można było nazwać bez zastrzeżeń kulturalną korzyścią. Musimy bowiem zgodzić się, że upowszechnianie kultury także wymaga pewnej higieny, że jeśli chodzi tu o umożliwienie masom dostępu do stołu ze strawą duchową, to chodzi również o naukę jedzenia, stosowania pewnych przepisów dietetycznych.

Powstają więc pytania: jak często i na jak długo — ma być głośnik radiowy w chacie chłopskiej otwarty?

Czy zamykanie i otwieranie głośnika można pozostawić inicjatywie konsumenta, czy należy to jakoś regulować ogólnie, przynajmniej w pierwszym okresie?

Co z tego „kranu” ma popłynąć: żywe słowo, czy muzyka? Ile miejsca w programie ma zająć nauka, a ile rozrywka?

Czy ma sens nadawanie dla wsi tego samego programu, jaki radio układa z myślą o radiosłuchaczach miejskich?

Tak dalej... Hasło: „radiowęzeł w każdej wsi” wymaga postawienia wielu zasadniczych pytań. Na niektóre z nich trudno dziś jeszcze dać odpowiedź, choć są dla sprawy kultury niezmiernie ważne.

Np.: w jakim stopniu radio na wsi może zastąpić książkę i gazetę? I czy zastępując, nie uczyni ich w ogóle niepotrzebnymi?

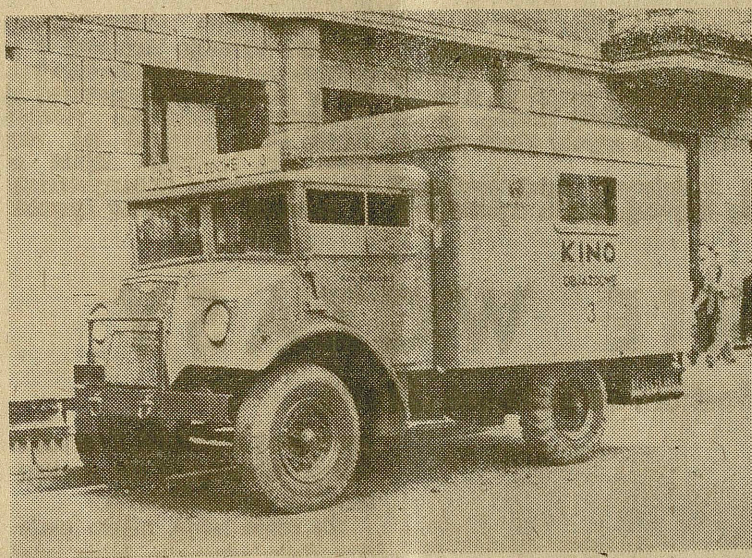
Albo: w jakim stopniu codzienne słuchanie radia zmieni przyzwyczajenia, zajęcia i tryb życia naszego chłopca? I czy te zmiany będą korzystne, czy nie?

Łatwym zachwytem, jakie budził cudowny bezsprzecznie wynalazek radia, przeciwnie stawiano też uwagi krytyczne. Więc — że radio spowoduje roztargnienie, że zabiera zbyt wiele czasu, że samo wiele zagadnień spłyca i skłania do tego samego swego konsumenta, że niweczy ciszę i spokój itd... Kompletną listę oskarżeń znajdujemy zainteresowani u Duhamela. Oskarżeń tych można w pełni nie podzielać, nie podobna ich jednak lekcewa-

dem tego może być np. reakcja wiejskiego widza na polskie kroniki filmowe i filmy dokumentarne, bardzo żywa i przychylna. To bowiem co trafia do umysłu poprzez oczy — ma większą wymowę i większą siłę przekonania. Dodajmy jednak, że siła ta może również działać ujemnie, jeśli się narzędzia nie potrafi użyć jak trzeba. Najlepszą propagandą jest wymowa samych faktów, prawdziwa atrakcyjność pokazywanych obrazków. Tego nie da się zastąpić komentarzem słownym, wykładem, przemówieniem agitaacyjnym, pustym werbalizmem.

Dobrze. Przyjmując więc jako zupełnie słuszną tezę: film na wsi jest potrzebny, zobaczmy teraz, jak to wygląda w praktyce.

Film na wsi — to właśnie „kino objazdowe”, kino, które obejżdża wsie i miasteczka, organizując tam pokazy w salach szkolnych czy świetlicowych, lub też w okresie letnim — pod gołym niebem.



Samochód kina objazdowego

Mamy w tej chwili takich kin 65. Z tych 34 jeżdżą na specjalnie do tego przystosowanych samochodach, a 31 — korzysta z różnych przegrodzonych środków lokomocji: furmanek, kolei żelaznej, autobusów.

Zasadniczo — wszystkie miejscowości w kraju figurują na trasach tych 65 „kin na kółkach”. W praktyce — do wielu kin nie dotarło jeszcze ani razu, do niektórych zaś dociera zaledwie raz na 3-4 miesiące (dolna granica). Przeciętnie — częstotliwość wizyty kina objazdowego stanowi jeden raz na miesiąc. Górna granica jest dwukrotna wizyta w miesiącu. Dotyczy to dzisiaj miejscowości położonych bliżej baz wypadowych. Dalsze szczegóły: każde kino objazdowe wędruje ustaloną z góry trasą, pozostając w podróży 24 dni. W tym czasie — w najlepszym razie daje 48 seansów, mając na każdym przeciętnie około dwustu widzów.

Centralna Dyrekcja Kin Objazdowych za najpilniejsze swe zadanie uważa rozbudowę sieci: jeszcze w roku bieżącym chce osiągnąć cyfrę stu jednostek (dźwiękowych), a w ciągu najbliższych trzech lat — cyfrę 400! I wtedy — slogan: „każdy powiat ma własne kino objazdowe!” — stanie się rzeczywistością.

Czy te, powiedziałbym: „ilościowe” ambicje dyrekcji są w obecnej chwili słuszne?

Jest to właśnie pierwsza sprawa, którą działacze wsi powinni przedyskutować i tę dyskusję artykuł niniejszy pragnie rozpocząć.

Moje osobiste — wydaje się, że można by tu zgłosić kilka poważnych zastrzeżeń. Oto moje racje:

W miastach kino stało się oddawna teatrem i książką najszerszym mas ludności. Widz miejski śledząc od początku postępu techniczny dawnego iluzjonu i jego artystyczną odrębność, jego własny język zna już dość dobrze.

Wies — jest w tych rzeczach zupełnie analfabetą. Kraj nasz liczy jeszcze sporo takich widzów, którzy w roku 47 zobaczą kino po raz pierwszy w życiu. Ci — zachowują się jak dzikusy z puszczy afrykańskiej: pokazywanych im filmów poprostu nie rozumieją! Wniosek? Ten oto: należało by tu rozpocząć od nauki czytania filmu, a nauka czytania jest nie do pomyślenia bez elementarza. Takim elementarzem kina — byłoby jakiegoś bardzo prostego filmu, bardzo oszczędnie operującego stylistyką filmową, jaką daje montaż, zbliżenia, metafory filmowe itp. Rzecz najzupełniej oczywista, że podobny „elementarz” musi być podany w języku ojczystym, nie mogą więc to być filmy zagraniczne, tylko filmy mówione i komentowane po polsku. Napisy, do których przyzwyczaili się już widz w mieście — na wsi roli tłumacza spełnić nie potrafią, ponieważ widz czyta bardzo wolno, a poza tym nie umie jeszcze rozdzielić swej uwagi między tekst i obraz, tak żeby niczego nie uronić.

Otóż, niestety, kina objazdowe takich „elementarzy” nie mają i nie ma wielkiej nadziei, żeby je w najbliższych latach otrzymały. Kina objazdowe wożą obecnie na wies te same filmy, jakie ogląda miasto, a te — choćby najlepsze, są w 99% pochodzenia zagranicznego, są niezrozumiałe zatem dla wiejskiego widza nie tylko wizualnie, ale także słuchowo. Powstaje konieczność komentowania filmów na

żywo, poprzedzania projekcji całym wykładem, co wymaga specjalnych kwalifikacji ze strony obsługi wozu, kwalifikacji, o jakie bynajmniej nie łatwo!

Powstaje więc pytanie: czy mimo braku filmów dostosowanych do poziomu wiejskiego widza, filmów bardzo prostych i łatwych, a przede wszystkim — mówionych w języku polskim — należy dalej powiększać ilość kin objazdowych, czy też raczej ograniczyć inwestycje w taborze i spręcić, a rzucić wszystkie powstałe w ten sposób sumy (spore — trzeba powiedzieć!) na zakup i produkcję filmów, które by były na wsi zrozumiałe i pożyteczne, które by spełniły choć w części rolę owych „elementarzy” filmowych?

Nie mamy tych wątpliwości, kiedy mowa o konieczności rozbudowy sieci kinoteatrów stałych, w miastach i miasteczkach. Im więcej **bowiem** kin, tym **większy** rynek, im wię-

szych i prelegentów. Stworzenia dla nich lepszych warunków pracy, jakże ciężkiej, lepsze, go uposażenia.

Dopiero po spełnieniu tych elementarnych warunków — można pomyśleć o powiększaniu cyfry kin objazdowych! Nie warto chyba fabrykować kranów, dopóki nie ma dla nich zbiorników z wodą zdatną do picia!

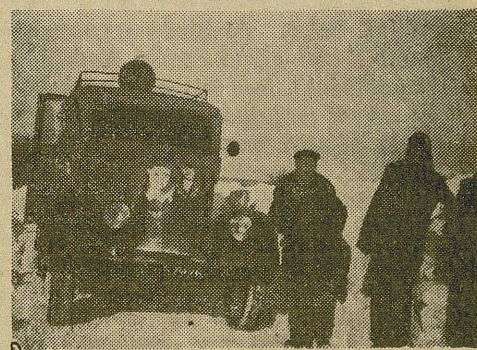
Własne kina objazdowe posiada również Instytut Filmowy. Obie akcje, o ile mogłem się zorientować — nie są skoordynowane i konkurują ze sobą, nawet co do ceny biletów. Ten stan rzeczy jest szkodliwy, tym bardziej, że dzieje się to w ramach jednego przedsiębiorstwa.

Jeszcze jedno zagadnienie, bardzo ważne, choć natury czysto technicznej: jaki typ taśmy jest najlepszy dla kin objazdowych, czy szeroka, czy raczej na 16 mm? Instytut Filmowy korzysta z tej ostatniej, Kina Objazdowe z taśmy normalnej. Wydaje mi się rzeczą niewątpliwą, że przyszłość należy bazować wyłącznie na taśmie 16 mm, za tym przemawia praktyka tych krajów, gdzie „kino-filacja” oddawna stoi na wysokim poziomie. Dyrekcja Kin Objazdowych upiera się przy taśmie szerokiej, ale jest to racjonalne tylko w pierwszym okresie, trzeba w miarę możliwości, pozwoli przejść na taśmę 16 mm.

34 jednostki kin objazdowych posiadają w tej chwili własne samochody. Czy nie należałoby tego wykorzystać również dla kolportażu czasopism i książek? Narzeka się przecież, że na głęboką prowincję prasa nie dociera, czemu więc nie wykorzystać i tej okazji? Pomijam już doraźne cele propagandowe, z tym trzeba raczej ostrożnie. Ale utworzenie choćby 34 wędrownych wypożyczalni książek i czasopism nie wydaje mi się białostką, o tym warto pomyśleć. Wielkie spółdzielnie wydawnicze, jak „Czytelnik”, „Książka” i „Wiedza” powinny tu wystąpić z inicjatywą, niechże każdorazowy wyjazd kina w teren zyska kulturalnie i społecznie!

Dyrekcja Kin Objazdowych narzeka na brak pomocy w terenie ze strony tych czynników, które wszelkiej akcji kulturalnej winny nieść pomoc jak najbardziej wydatną. Więc: władz gminnych, spółdzielczych, kleru itd... Sądę, że gdyby działalność kin objazdowych rzadziej nosiła charakter zdecydowanie propagandowy i gdyby programowo — seanse tych kin były dla widza bardziej atrakcyjne, że wtedy o taką pomoc byłoby w wiele łatwiej. Ale i w obecnych warunkach — indolencja miejscowych czynników jest czasem rzeczywistą, a nie tylko jaskrawą i odpowiednią władze winny temu przeciwdziałać przez wydanie odpowiednich instrukcji.

W tym krótkim szkicu chcemy tylko postawić zagadnienie: co i jak winien film zrobić dla wsi, dajmy więc pokój szczegółom. Przyjdą relacje z terenu, przyjdą uwagi działaczy wsiowych i wiele spraw jeszcze wypłyne. Najważniejsza jednak prawda, ta mianowicie: film jest wsi potrzebny! — wymaga moim zdaniem postawienia następującej tezy: w pierwszym rzędzie należy produkować specjalne filmy dla wsi, należy utworzyć filmotekę, która by miała na początek choć kilka



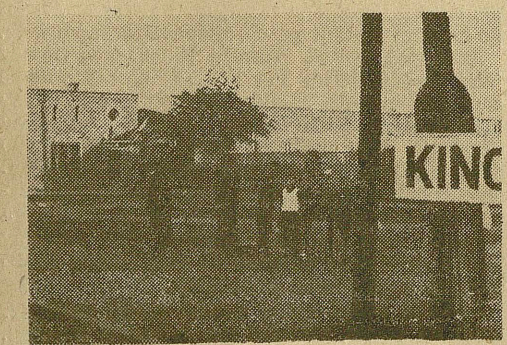
Samochód utknął w zaspach. Trudności techniczne są naturalną przeszkodą w pracy kin objazdowych.

pozycji o zdecydowanie odrębnym charakterze, pozycji polskich. Wyświetlanie filmów szwedzkich, francuskich i amerykańskich — pozwala wprawdzie wypełniać puste rubryki w sprawozdaniach, korzyści jednak przynosi w danej chwili minimalne albo żadne i lata całe jeszcze upłyną, zanim można będzie wyświetlać z prawdziwym pożytkiem...

Zagadnieniem: wies polska jako temat beletrystyki i reportażu filmowego — zajmijmy się osobno.

Do NASZYCH PRENUMERATORÓW

Prosimy wszystkich prenumeratorów o dokładne, czytelne wypełnianie przekazów pieniężnych nadsyłanych do Administracji, jak również dokładne podawanie swego adresu (miejsc zamieszkania, właściwa poczta i powiat). Wpłacający prenumeratę z ramienia instytucji proszeni są zaznaczać wyraźnie, do kogo ma być pismo wysłane, t.j. czy do danej instytucji czy na nazwisko pracownika wpłacającego.



Przygotowania do wyświetlania filmu. Ściana domu widocznego z tyłu jest ekranem, podwórze — widownią.

żyć. Jedno jest pewne: rosnąca w górę cyfra „radiowęzłów” na wsi — sama przez się nie jest jeszcze kulturalnym osiągnięciem, a stanie się nim dopiero wtedy, kiedy dla wiejskich głośników przygotujemy osobny wiejski program. Program rozumny i ostrożnie dawkowany, pomyślany na dłuższą falę, uwzględniający wszystkie potrzeby i odrębności wiejskiego odbiorcy. Nie będę się nad tym dłużej rozwodził, „radiowęzeł” posłużył mi tutaj jedynie dla przykładu, dla wykazania trudności i zagadnień, jakie powstają przy lansowaniu w szerokiej skali takich zabawek, jak radio czy kino...

Kino!... I tutaj mamy popularne slogany: „W każdym powiecie jedno kino objazdowe!” „Polse potrzeba 400 kin objazdowych!”

Slogany, którym w zasadzie nie podobna odmówić słuszności. Odrzućmy powiem: mniej tu zasadniczych zastrzeżeń niż w wypadku z „radiowęzeł”. Pomoc, jaką kino przyniesie w akcji poszerzenia horyzontów polskiej wsi, może być olbrzymia. Obrazki filmowe mogą znakomicie przyspieszyć obywatelskie uświadomienie wsi, mogą spełnić wiele doniosłych zadań kulturalnych i oświatowych. Dowo-

Tadeusz Orlewicz

Co słychać w gospodarce świata

WE FRANCJI JEST CIĘŻKO Z CHLEBEM

Francja przeżywa obecnie okres dużych trudności wewnętrzno-gospodarczych. Jest ona krajem, który nie może wrócić na drogę równowagi ekonomicznej. Charakterystyczny tu jest wyraźnie ujemny bilans płatniczy, zwykła plaga, która powoduje nieprzewidywalne obciążenia budżetu państwowego, liczne choć krótkotrwałe strajki oraz coraz jaskrawsze objawy inflacyjne, wyrażające się w braku należytych powiązań w polityce walutowej Francji. Kampania o utrzymanie wartości franka i o niższe ceny jest w takich warunkach szczególnie trudna. Dla francuskiego robotnika podwyższenie płacy jest naturalną konsekwencją wzrostu produkcji i udziału płacy robotniczej w dochodzie narodowym kraju. Francuski świat pracy pragnie rzeczywistych premii za wydajność, dotąd bowiem, jak ostatnio stwierdzono, płace we Francji w roku bieżącym są w puli dochodu społecznego o 14% mniejsze, ale za to zysk przedsiębiorstw i tzw. warstw posiadających — większy o 60%. Oznacza to, że na wzmagającej się produkcji zarabia tylko pracodawca, a robotnik traci zwłaszcza z uwagi na trudności aprowizacyjne i braki w żywności.

W połowie kwietnia rb. ludność Francji stanęła w obliczu braku mięsa, a przede wszystkim — chleba. Rozgorzała na łamach pism francuskich kampania, usiłująca dać właściwy komentarz temu zjawisku. Lewica domagała się zlikwidowania wypieku ciastek,

wychodząc z założenia, że wypiek ten zabiera poważne ilości pszenicy, a jest zakupywany tylko przez te grupy ludności, które mają poważną siłę kupną, a więc tzw. sfery posiadające, drobnomieszczańskie itp. Prawica nie liczyła się z bardzo pustą kieszenią robotnika i wołała właśnie o nieograniczony wypiek ciastek, tak jakby mogło być aktualne powiedzenie: „Lud nie ma chleba, niech je ciastka”. Zarządzenia rządowe poszły w kierunku ograniczenia wypieku ciastek i ograniczenia przydziałów dziennych chleba. Racja dzienna chleba dla jednej osoby spadła z 350 gr na 250 gr.

Przyczyny takiego stanu rzeczy tkwią głęboko w aktualnej sytuacji rolnictwa francuskiego. Office National Interprofessionnel des Cereales, a więc państwowy urząd zbożowy, twierdzi, że kryzys zbożowy powstał z następujących zjawisk:

- 1) poważne ilości zboża idą na czarny rynek,
- 2) wobec dużych różnic w cenach na zboże i na bydło rzeźne — zboże idzie w wielu gospodarstwach rolnych na wypas bydła,
- 3) oczekuje się w roku bieżącym słabych zbiorów, skoro 37% oziminy wymarzło, a powódzie uszczupliły powierzchnię żniwną, to też rolnicy zachowują duże zapasy zboża na zasiewy,
- 4) w wielu mniejszych miejscowościach ugruntował się zwyczaj handlu wymiennego

i rolnicy wymieniają bezpośrednio zboże na towary.

W odpowiedzi na to sfery rolnicze Francji twierdzą, że przyczyną zła są zbyt wysokie kontyngenty, nakładane przez rząd w związku z zaopatrzeniem reglamentowanym ludności, przy czym jednocześnie szereg przydziałów dla rolnictwa uległo ograniczeniu. Dotyczy to przede wszystkim nawozów sztucznych, których wieś otrzymuje znacznie mniej bo idą one jako towar eksportowany zagranicę. Francja w roku bieżącym ma wyraźnie ujemny bilans handlowy, który wyraża się w przewidywanym deficytem około 800 milionów dolarów amerykańskich. Wzmaganie zatem eksportu za wszelką cenę i każdym artykułem nie może mieć racji zwłaszcza, jeżeli to odbywa się kosztem rolnictwa.

Prawda jak zwykle leży po środku. Pszenica jest we Francji najważniejszym gatunkiem zboża chlebowego. Przeciętnie przed wojną rolnictwo francuskie produkowało około 8 milionów ton pszenicy rocznie. Ponieważ zapotrzebowanie rynku wewnętrznego na pszenicę wynosiło powyżej 7 milionów ton, sytuacja na tym odcinku była pomyślna. Francja w okresie przedwojennym była samowystarczalna w dziedzinie pszenicy, a nawet mogła sobie pozwolić na eksport pewnej ilości tego produktu. Zgoła odmienną jest rzecz, że ogólna samowystarczalność Francji w zakresie artykułów żywnościowych była

ostatnio w latach 1930—1939 problematyczna, ale luki były łatwo uzupełniane importem z jej kolonii.

Po wojnie obraz uległ zasadniczej zmianie. Okupacja hitlerowska i zły urodzaj w roku 1945/46 zmusiły rząd francuski do sprowadzenia w tym okresie ponad 4 milionów ton ziarna, a więc ilości, przekraczającej połowę zapotrzebowania rynku wewnętrznego kraju. Urodzaj w ub. roku był dobry i dał 6,5 milionów ton pszenicy. Zdawało się zatem, że samowystarczalność Francji w tym okresie jest zapewniona, bo liczone się z tym, że wobec złego urodzaju we Francuskiej Północnej Afryce trzeba będzie tylko tam przekazać pewne ilości zboża, pochodzącego z importu. Ale zdecydowały czynniki natury poza gospodarczej. Mróz zniszczył 37% zbóż ozimych. Zboże przeznaczone do konsumpcji, poszło w dużej ilości na ponowne siewy na wiosnę. W obawie o to, że zbiory obecne nie dadzą w wielu okęgach nawet dostatecznej ilości na przyszłe zasiewy, chłopci porobili sobie zapasy siewne. Resztę zużyto na paszę. Tym właśnie należy tłumaczyć tak bardzo wczesny i tak dotkliwy tegoroczny przedmówek we Francji. Premier Ramadier w apelu do rolników francuskich wyraźnie podał, że w połowie maja Francja i jej miasta potrzebują 300.000 ton zboża, aby zapelnąć lukę. Twierdził, że zapasy, jakie rolnicy francuscy posiadają, wystarczą na okres 2 miesięcy a więc do przyszłych zbiorów. Złożył więc na rolników obowiązek zaopatrzenia miast w zboże po słusznej cenie. Podkreślił jednocześnie, że możliwości pomocy z zewnątrz są ograniczone, ponieważ — zdaniem Ramadier — wszędzie na świecie w zbożach chlebowych zaznacza się deficyt, a do importu potrzebne są dewizy, których Francja ma niewiele.

Kryzys został częściowo zażegnany, ale sprawa nie została definitywnie wyjaśniona. Radykalowie francuscy domagają się powrotu do wolnego handlu zbożem. Inni natomiast atakują rząd za zbytne liczenie na pomoc USA i dostawy amerykańskie, nadto zaś za przyczynę kryzysu uważają wadliwą politykę cen, która przekreśliła dla drobnych producentów rolnych rentowność uprawy zbóż chlebowych.

Jak wygląda ta polityka ilustruje następujące zestawienie. Jeżeli przyjmujemy, że ceny w roku 1938 na pszenicę, na wszystkie artykuły spożywcze i na wytwory przemysłowe, potrzebne wsi do życia i produkcji, wynosiły po 100 punktów dla każdego rodzaju, to w roku bieżącym mamy taki obraz: pszenica — 489, ogół środków spożywczych — 945, artykuły przemysłowe dla wsi — 756. Łatwo więc zrozumieć, że rolnik francuski woli zmniejszyć powierzchnię uprawy pszenicy, która przestaje być dla niego opłacalną, a pragnie zastąpić siew pszenicy siewem innego ziarna, z którego zbiór będzie mógł na wolnym rynku sprzedać znacznie drożej niż rząd wpłaci mu za pszenicę. Rezultaty nie każą na siebie długo czekać. W roku 1938 zbierano pszenicę z 5.000.000 ha, w roku bieżącym zaś powierzchnia zasiana pszenicą nie przekracza już 4.000.000 ha. Wprawdzie zwiększa się uprawa żyta, które w roku bieżącym zajmują 408.000 ha, i jęczmienia (181.000 ha), ale tendencja ograniczenia powierzchni uprawy pszenicy jest szczególnie groźna we Francji, gdzie pszenica jest głównym materiałem chlebowym. Polityka „łaniego chleba” wydaje zatem nieoczekiwane owoce.

Dziś już można oceniać tegoroczne zbiory jako zbiory, które nie będą w stanie pokryć zapotrzebowania rynku wewnętrznego. Przy zmniejszonej powierzchni uprawy pszenicy oczekuje się maksymalnego zbioru około 5.000.000 ton. Po zbiorach zatem Francja będzie musiała 1/4 całorocznego zapotrzebowania na pszenicę importować. Plan Monnet'a importu tego nie przewidywał. Tak znaczny dowód ograniczy oczywiście możliwości realizacji tego planu odbudowy.

Istnieją nadal spory wśród partii politycznych na temat polityki gospodarczej Francji. Sytuacja ogólna wskazuje jednak na to, że Francja powinna wkrótce śniła na tory gospodarki planowej, czy kierowanej, jak ja nazywają niektórzy ekonomiści francuscy. Rozszerzające się bowiem nożyce cen na artykuły przemysłowe i rolne nie przynoszą pozytywnych rezultatów ludności pracującej w miastach i na wsi. Francję toczy choroba ekonomiczna, którą próbuje się zaleczyć pożyczkami międzynarodowymi, pochodzącymi z USA. Można taktykę taką oceniać, jako politykę szukania dróg najłatwiejszych. Do najbliższej przyszłości należy ocenić czy takie postępowanie jest słuszne z punktu widzenia suwerenności gospodarczej Francji.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres redakcji i administracji. Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś”. Łódź, Piotrkowska 133 II p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2. D-0015970

Jerzy Falenciak

CHŁOPSKIE WCZASY

(List z Mielna do redaktora „Wsi”)

Pozdrawiam Cię, Janie Aleksandrze.

Jest to „pozdrawienia z nad morza” z okazji moich wczasów i pierwszego urlopu od lat siedmiu, który jest zarazem pierwszym w moim życiu urlopem — powiedzmy mieszczańskim.

W Mielnie ładnie, jak chyba nigdzie na Wybrzeżu. Przed wojną jeszcze za niemieckich czasów, przyjeżdżali tu nie za bardzo bogaci Czesi, sklepikarze, rzemieślnicy i nie uwierzysz — chłopci, kiedy żniwa zbierały się z nadbałtyckim sezonem letniskowym.

Miejscowi hotelarze przygotowali tutaj w swoim czasie dla gości z Czech coś w rodzaju miniaturowej i parodii Sopotu albo Międzyzdrojów. Mamy więc w spadku po nich park z „muszlą”, plażę, lecz bez mola, ze trzy knajpy i kilkanaście pomieszczeń pensjonatowych. Bawili się wtedy czescy majstrzy i handlarze. Rano plaża, po południu kwartet w „muszli” z takimi kawalkami jak „Taniec kwiatów” albo „Początek w lesie”, a wieczorem popijali kosałińskiego pilznera. Nie wątpię przez chwilę, że tak samo zachowywali się ich chłopscy towarzysze.

Widzisz więc, że może wypożyczać zdala od domu chłop czeski, duński, rosyjski kołhoźnik, lecz nie chłop polski. A gdyby nawet przyjąć teoretycznie tylko, że tu do Mielna przybyli razem z nami urzędnikami, robotnikami, także i chłopci z głębi Polski, to jakby oni wyglądali? My piekliłbyśmy się na słońcu do przesady, jak to czynimy co dnia, a oni śmieliby się z nas. My drygamy „swingiem” w „domu zdrowym”, a ich dziwiłoby to, lub może i peszyło, my „szukamy wrażeń”, co w ich oczach kawłitizowałoby nas jako ludzi bez obyczajów itd. itd. Nie długo wytrzymałby na takich wczasach, które — co tu dużo mówić — nie są dla nich już ze swego założenia.

Wiem z góry, że weźmiesz mi za złe moje rozumowanie, a mój list określił jako „wyraz kompleksów”. Niech więc to będzie wyraz moich chłopskich jeszcze urazów.

Myślę otóż, że gdyby kto obszedł całą Polskę i zapytał każdego chłopca, czy uważa za możliwe wczasy dla siebie, takie same wczasy jak np. robotnicze, wówczas usłyszałby, że nie. Ja sam zaś nie odważyłbym się nigdy przeprowadzić takiej ankiety we wsi, z której pochodzę, w której wszyscy mnie dobrze znają. Ba, nie odważyłbym się nawet organizować tam wycieczki na święto morza lub ogólnonarodowe dożynki. Bałbym się po prostu narażać na śmieszność pośród moich ziomków, chociaż bynajmniej nie uważam ich ani za barbarzyńców ani za ludzi niewyrobionych społecznie i politycznie.

Bo weź! W mojej wsi, jakich w Polsce najwięcej, kobiety z pokolenia mojej bab-



Ilustracja z „Wsi ilustrowanej” r. 1910.

ki i matki nie wytykały nosa poza parafę, gminę, no, powiat i nigdzie dalej, chyba, że szły służyć do niedalekiej Warszawy. Znam też jedną, tylko już z mojego pokolenia, co wyszła za mąż za „zawisłoka”. — Mężczyźni z pokolenia mojego dziadka i ojca, jeśli nie wyemigrowali na stałe albo nie brano ich „w żołdacy” gdzieś do Władywostoku („eszałonem” 42 dni w jedną stronę) czy do Kerczu, też nie znali geografii inaczej, niż abstrakcyjnie („Święta Rodzina uciekała z Palestyny — skądś — do Egiptu — dokądś, czy to na wschodzie słońca czy na zachodzie, tego nie wiem”). Moi rówieśnicy, dzisiaj często wtórni analfabeci, gdy oderwali się na dłużej od swego Nowego Prażnowa pozostając nadal chłopami, to z niełaskawą pomocą ostatniej wojny.

Piszę Ci o chłopach dobrze osiadłych, i nie wliczam do nich chłopskich sklepikarzy, faktorów czy wsiowych złodziejów, bo ci dzisiaj, to zupełnie co innego. Ci wszyscy bowiem, chociaż ze wsi i na wsi, płyną nurtem miejskim, mieszczańskim i wiedzą, co to żyć i użyć.

Nie posądzasz mnie chyba, iż uważam, że chłopu w jego warunkach nie potrzeba odpoczynku, tak jak potrzeba robotnikowi albo inteligentowi. Nie chodzi przy tym o wypoczynek fizyczny, ale psychiczny i głównie psychiczny. No bo ilu to neurasteników produkuje nuda wiejska, z jej fałującymi łanami, z cichymi wieczorami zimowymi, ze świerszczami za kominem i tam dalej, przy strasznym braku wrażeń od kołyski do grobowej deski, przy strasznym prymitywizmie życia kulturalnego, z teatrem raz na rok w księżej stodole. Ten to przeżyje i przeniesie, kto w życiu nie

ponadto nie widział. I nawet nawyk chłopskiego obowiązku nie zawsze odwołuje od myśli o samobójstwie.

Ze mam rację, mimo moje tylko osobiste doświadczenia, jakie właściwie są zawsze urazami, na to dam Ci kilka przykładów.

Widziałeś pewnie, jak gospodarują w naszych warunkach chłopci — reemigranci z Ameryki albo, po co więcej, jak gospodarują chłopci, którzy otarli się o szkołę średnią nie kończąc jej.

Przyjrzyj się też dokładniej naszym chłopskim intelektualistom z zespołu „Wsi”, dla których ziemia, a nie co innego jest podstawą utrzymania.

I do czego teraz zmierzam.

Myślę otóż, że chłop w Polsce jest jedynym typem obywatela, dla którego oderwanie się od jego warsztatu pracy jest fizycznie niemożliwe.

Tym zjawiskiem rządzą te same prawa (może to są prawa ekonomiczne?), które nie pozwalają mu umierać w szpitalu, gdy jest chory na raka albo na gruźlicę, a zmuszają go dogorywać w męczarniach w domu bez lekarza, to są te same prawa, które nie pozwalają mu sypiać inaczej, jak latem w stodole, a zimą na wykurku w chorze (napierw, że mu nogi trudno domyc a później, żeby krowy albo konia nie wyprowadzono w ciemną noc). Stąd wniosek marginesowy, ale ogólny. Inny i nie-szczęśliwszy jest chłop u nas, niż chłop w Czechach choćby.

Daj mi teraz dowód, że nie jest tak źle, jak ja to widzę. Myślę jednak, że statystyka poparłaby moją stronę. Jeśli zaś zdarzyło się, że dla celów eksperymentu zorganizowaliśmy wycieczkę chłopów na wczasy, tu do Mielna, to po powrocie do domu rzeczywistość byłaby dla nich na długie lata nie do zniesienia. Sprawa w tym jeszcze, że ja za chłopów uważam tych moich, jak spod Grójca, bytujących w warunkach nie wiele różniących się od warunków, w których żyli ich przodkowie w XV wieku, o czym dużo w ówczesnych zapiskach sądowych. A chłopci z Liskowa czy Hanzłówek, to dla mnie cudzoziemscy i tego ani myślę brać za przykład.

Janie Aleksandrze! Być może, że nie zgodzisz się ze mną. Jednakże co szkodzi sprawdzić rzecz między samymi chłopami. Od czego „Wieś”? Ogłosz ankieta na temat: „Chłopskie wczasy” z punktami:

- 1) Czy chłopu potrzebny jest odpoczynek poprzez wczasy, zdala od jego zagrody?
- 2) Czy możliwe jest to w tej chwili i w jaki sposób?
- 3) Jakie mogą być przeszkody w urządzaniu chłopskich wczasów?

Jeszcze raz pozdrawiam Cię z całego serca.
Jerzy Falenciak